

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiec

ROK LXII

WARSZAWA, DNIA 14 WRZEŚNIA 1929 ROKU

NR. 37

TREŚĆ NUMERU: Szczytowe punkty krzywej—*Wanda Borudzka*. Poezje: „Jesień i miłość“, „Wierzy jesienne“ — *Lucyna Krzemieniecka*. Zawalidroga (d. c.) — powieść—*Herminja Naglerowa*. Z wędrówki—*M. H. Szpyrkówna*. Z dziejów entuzjazmu—*Stefanja Podhorska-Okolów*. Na wodzie — *Jadwiga Krawczyńska*. Z teatrów — *S. P. O.* Kobieta w świecie i w domu. Sztuka i życie (dok.) — *Stanisław Machniewicz*. Nieznana salata — *F. G.* Nowe grabie rotacyjne — *A. D.* Cielęcina — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dodatek „Nasza Mównica“. Dodatek „Mody i roboty“: Okrycia — *Well*. Dodatek „Kultura Ciała“. Dodatek powieściowy: „Głos krwi“ — *R. Hichens*. Tablica kroju.

SZCZYTOWE PUNKTY KRZYWEJ

Podczas lustrowania odcinka życiowego, uprawianego przez nas przy współdziałaniu epoki, wieku, płci i całego szeregu innych czynników, dochodzimy zwykle do wniosków ujemnych. Pomińmy zresztą rewolty zasadnicze, dla zadośćuczynienia którym musielibyśmy urodzić się inaczej, zamieszkać odległą szerokość geograficzną, przemodelować typ fizyczny i podłożyć pod udoskonalony rodzaj egzystencji zupełnie nowe wartości intelektualne.

Po dokonanej fakcie rezygnacji ze wszystkich „niepodobna“, zarządzając akt introspekcji w ramach zdrowego sensu, widzimy, że obraz naszego życia, będący rezultatem uczciwego i bezstronnego samowyznania jest zamazany i niedociągnięty w liniach. Że to samo mogło być zrobione inaczej. I że z naszej winy akcja nie rozgrywa się na znacznie doskonalszym, choć w każdej chwili osiągalnym planie.

Ciekawą byłaby próba analizy momentu psychologicznego, wymagającego zamknięcia dotychczasowego bilansu strat i zysków i powodującego niezwłoczną rewizję przeżytych lat, tygodni, a nawet dni i godzin. Jeśli jest nim skrajna depresja, będzie to najpewniejszym sygnałem ostrzegawczym, że uchyliśmy się zanadto, nietylko od podświadomie skonstruowanego ideału naszej postawy wobec życia, ale od tego minimum, jakiego wymaga normalne samopoczucie. O ile potrzeba natychmiastowego rachunku sumienia przypada na moment dźwignięcia się, nagłego głodu wewnętrznych lub zewnętrznych meljoracji — dla którego typowym objawem jest powzięcie nowych postanowień — świadczy to nieomylnie już nietylko o potrzebie, ale moż-

ności stoczenia skutecznej walki z zachwaszczonym oportunistycznym terenem działań.

Pierwsze nastawienie powoduje przygnębiające, ale owocne w skutkach refleksje, odruchowo bowiem poszukujemy przyczyn źle funkcjonującego aparatu. Pociąga ono za sobą akcję projektodawczą. Drugie, jako kinetyczne wyładowanie zbuntowanej woli — jest już odrodzeniem czynnym.

Oba te charakterystyczne stany życiowe mają niektóre cechy wspólne. 1) Są odchyleniem od stanu normalnego i zdarzają się sporadycznie. W żadnym wypadku nie są typowe dla przeciętnego codziennego życia. 2) Odznaczają się jednolitością fizycznej i psychicznej reakcji. Bardzo często następują w kolejności bezpośredniej: po opuszczeniu się na najniższy poziom naszej wydajności, następuje krzepkie odbicie się od dna i odskok w górę.

W wypadkach jałowości umysłowej lub jej ostrzejszego depresyjnego stadium, ręce miękną przy robocie i daje się odczuć ogólne rozprężenie organizmu. W chwilach odżywiania krew i myśli pulsują intensywnie, osiągając bolesne, jak każdy akt twórczy, napięcie gwałtownie domagające się wyładowania. Rzeczą fachowców psychologów i lekarzy — byłoby ustalenie, którego typu władze — duchowe, czy fizyczne dają gorszący lub zbawienny przykład, stawiając pierwszy krok na drodze odrodzenia czy upadku. W ich kompetencji leżą również wszelkie środki pomocnicze i zaradcze w dziedzinie ustalania i dawkowania dopingów.

Tak czy inaczej, okresowi depresji przypada funkcja barometryczna, skonstatowanie: jest źle. Momentowi odrodzenia — pewność: będzie dobrze.

Prawie zawsze rodzi się on w środowisku zmiany. Wystrzela żywiołowo w przychylną atmosferę nowości, nad wszystko przekładając punkty zwrotne egzystencji. Może to być zmiana miejsca (podróż), mieszkania, trybu życia, wstrząs moralny, wrażenie estetyczne, zdobycz naukowa, nowy zawód lub stan cywilny. Czasem nagle spotkany lub odnaleziony człowiek, wprawiający w stan wibracji wszystkie komórki jaźni. Niekiedy — sezon.

Dla praktycznych wniosków ważną będzie umiejętność zużytkowania tej psycho-fizjologicznej odskoczni.

Jest ona momentem jasnowidzenia krzywd, wyrażonych własnemu pełnowartościowemu człowieczeństwu. Wysoka, ekstatyczna temperatura tego nagłego z dna jestestwa wybuchającego samooskarżenia stapia w jedną całość żal za grzechy z namyślnym postanowieniem poprawy. Z każdego rozżarzenia jednak wywiąże się proces ulatniania, o ile nie uchwycimy momentu plastyczności postanowień, wlewając je w zgóry przygotowane formy roztropności. Tylko w tym wypadku projekt przybierze kształt posłusznego naszej woli poczynania. O ile odruchowemu otrząśnięciu się z dotychczasowych nieprawości nie pośpieszy z pomocą metodycznie opracowany plan działania, dobroczynna energia wybuchu zostanie doszczętnie zmarnowana. Znowu strąceni na dno, będziemy zmuszeni rozpocząć wędrówkę w labiryntach słabości i błąkać się w ciemnościach, będących nieuniknionym post-factum każdego krótkiego spięcia.

Jakże więc połączyć konsekwentnie trzy zasadnicze stadja wezbranej energii: postanowienie, wykonanie, efekt, aby nie utracić najmniejszej korzyści, wynikającej z tego intensywnego przegrupowania elementów?

Po dokładnym uświadomieniu sobie znaczenia tych szczytowych momentów życia, musimy mieć zawsze w pogotowiu dokładny wykaz wszystkich win i niedoborów. Posiadanie takiej starannie prowadzonej, moralnej kartoteki jest dla myślącego człowieka równie niezbędne, jak książka rachunkowa w gospodarstwie.

Prawa społeczne i instynkt samozachowawczy zmuszają nas do ukazywania otoczeniu w celach ochronnych i reprezentacyjnych jedynie uporządkowanej i wygładzonej strony egzystencji. Cała ta robota dyplomatyczna obróci się na naszą szkodę, o ile zechcemy zastosować ją do siebie samych. Zmiatanie duchowego śmiecia w najdalsze zakamarki, do których przez to samo wolimy nie zaglądać, prowadzi do skrajnego zacieśnienia życia. W granicach malutkiego, odświeżonego wyczyszczonego deptaka — rozpanoszą się w sąsiedzkich ugwarzaniach nuda z pustką, dopóki niechlujstwo moralne nie osiągnie momentu, w którym nasze zbuntowane człowieczeństwo zmusi je do likwidacji. Nie zaślepienie więc, ale głęboko- i daleko-wzroczność pozwoli do-

strzec i usunąć wszystko szkodliwe lub tylko niepotrzebne dla wprowadzenia na to miejsce racjonalnych wartości.

Jakież więc dziedziny życia powinny być wciągnięte na listę i poddane rewizji, skoro już upatrzyliśmy na nią moment tak bardzo odpowiedni?

Tysiąc i jeden szablonów dałoby się ułożyć nakształt liczbowych trücków w kombinatoryce. Każdy z nich mógłby być zarówno słuszny i subtelnym, jak fałszywy lub naiwny w poszczególnych wypadkach. Dla siebie, dla domu, dla serca... Dajmy spokój nietaktom i niedyskrecjom. Jedno jest ważne: apel do roztropności, aby nie dopuściła nas do pozycji i zakłamania w tych porachunkach jaknabardziej osobistych. Aby pozwoliła nam odczuć, co dotychczas najbardziej zawadzało i czego nam potrzeba najkonieczniej. Nie rzucajmy się w dziedzinę wyższych studjów, o ile właśnie w naszym życiu największym zakłóceniem harmonji jest bezład w szafie. I jako antyteza — to na odparcie zarzutu przyziemności — nie haftujmy stopięćdziesiątej serwetki, o ile od roku nie zatamował nam oddechu zachwyt płynący z książki, wielkiego czynu, bzu za szybą, dobrego słowa.

A może właśnie kołowrót pracy zmarnował nas doszczętnie i koniecznym jest odświeżenie życia strumieniem pustoty, lekkomyślności i wesela?

Hurtowych recept niema i być nie może. Kupić szczotkę do zębów, czy zdać doktorat? W granicach własnego poziomu (rozwój, kultura, stan majątkowy), w twardym nieraz zderzeniu praw człowieka i obowiązków niewolnika należy za wszelką cenę starać się o wyrównanie, jednolity i wszechstronny wyraz indywidualności.

Rzeczą temperamentu i gatunkowych właściwości pedanterji będzie również kolejność rozpoczęcia pracy na tym, czy innym terenie. Od owego błogosławionego ranka, czy wieczoru — wylania resztki łez nad własną marnością lub nagłego rozgrzania serca niezłomnością postanowień, zechcemy może podciągnąć równomiernie całe życie? Jego krzywa w łagodnych załamaniach świadczy może o nieznacznych brakach, poprostu nieco zwolnionem tempie i wystarczy niewielka doza prężności i przyspieszenia, aby się stało dobrze?

Lub też wygodniej (z punktu widzenia energii, nie gnuśności) będzie wykończyć dziedzinę, gdzie do zadowolenia własnych, ale uczciwych, ale surowych, wymagań brakuje kropki, która zwyczajowo utartem powiedzeniem tylko nad i bywa jakoby niepotrzebna? Niekiedy splot rozmaitych właściwości charakteru i warunków nakazuje nam natychmiastowe rozpoczęcie budowli na miejscu pustem, na którym kłębi się huragan niezaspokojonych pożądań, oddawna dopraszających się uwagi i zmiłowania.

Za pierwszą metodą przemawia szybko następująca radość dokonania. Druga zaspokoi głód cza-

sem wieloletni i pozwoli pchnąć na nowe forty energię świeżą, niewystrzępioną w uprzednich błędnych poczynaniach.

Racjonalnej organizacji gospodarstwa moralnego powinno służyć za podstawę nowoodkryte i należycie docenione poczucie wagi czasu. Ten właśnie czas niepowrotnie zapadający w szpary między jedną, a drugą czynnością z odpoczynkiem i rozrywkami włącznie, powinien być skrzętnie minuta do minuty wyzbywany i zużyty według nakazów woli, nie bezwładu. Może pomoże piśmienny rozkład godzin? Ułożenie w ich kratkach wszystkich zamierzonych czynności? Takie widoczne, brutalne poniekąd memento samą nowością może sugerować rozumowo wypracowane konieczności. Drugim, ważnym punktem oszczędności będzie energia. Cisnąć od razu całą szczęśliwie regenerowany ładunek w zaczyn pierwszej lepszej roboty — to znaczy już przy starcie wziąć największą szybkość i zamdleć przed finałem. Zmęczenie, nie wyczerpanie, powinno być niezłomnym maximum duchowych atmosfer. Jest to

zresztą linja najmniejszego oporu — powściągliwość, nie pośpiech bowiem, cechuje temperament przedniego gatunku. Tembardziej, że pierwszy entuzjastyczny moment nie będzie trwał w nieskończoność i skądże wtedy przy przeciągniętych strunach woli wziąć siłę rozpędową? Wyjątkiem mogą być okresy szczególnie nasilonej całopalnej twórczości. Tchórzostwem byłoby odtrącać haszysz narodzin dzieła, niepodobna jednak używać go na miejsce źródlanej wody. Są rzeczy, na które nie można ustalać ceny — niema sensu jednak przepłacać każdy punkt w codziennym dekalogu, choćby dlatego, że przyjdzie moment, kiedy warto, czy trzeba będzie rzucić na szalę jakiejś czarnej lub promienistej godziny wszystkie oszczędności.

Pozwólmy więc dojść do głosu zarówno wielkim, jak maluczkim potrzebom. Zaspokójmy je w tej mierze czasu i proporcji, jaka jest niezbędna do osiągnięcia najpełniejszego wyrazu naszej osobowości, a źródło najgorszej udręki — bolesność niedokonań — zostanie bezpowrotnie zasypane.

Wanda Borudzka

LUCYNA KRZEMIENIECKA

JESIEŃ I MIŁOŚĆ

*Tyle leszczyzny na leśnych ścieżkach,
każda, jak szumiący poemat.
Szukałam wróżki, która nigdzie nie mieszka
i szczęścia, którego wcale niema.*

*Wiatr znalazł koniczynę czterolistną
i sam sobie coś na niej wróżył.
Tak koniecznie chciałam zapomnieć o wszystkim
i nie cierpieć, nie milować dłużej.*

*Macierzanka, co usta lipcowe
oddała w pokorze słońcu,
jeszcze wyżej do nieba podniosła głowę, —
— jak ja spalona, a jeszcze pragnąca.*

*Liść, z brzozy opadając, czerwieniał,
bo tak chciał się przed śmiercią ratować,
a potem, zwyczajnie, jak moje marzenia
najśmielsze, zginął w przydrożnych rowach.*

*Na skrzypeczkach niemidzialnych — świerszcze
grały, grały małym krótkom bożym.
Wrzos stał się nowo odkrytym szczęściem
i sam mi się pod głowę podłożył.*

WIERZBY JESIENNE

*Idą, idą wierzby jesienne za modą
złotolistnym, czerwienym korowodem.
Szumią wieczorom, ze słońcem gadają,
drogę w dal, jak na śmierć odprowadzają.
Wemłosach zielonych, potarganych, nadsamotną drogą*

*placzą bezradne, żałośliwe, że jej pomoc nie mogą,
Nie słuchają mięty, ani tataraku śpiewania,
placzą, że muszą białą drogę wiecznym cieniem przy
i, że co rok już tak muszą wieczyście ślaniać
grzebać ją w pocałunkach bolesnych, krwawych liści*



HERMINJA NAGLEROWA

19)

ZAWALIDROGA

(powieść)

Panny uśmiechały się trochę drwiąco i dlatego pierwsze poznanie nie było przyjemne. Zwłaszcza Maryna, której ruda chłopięca głowa świeciła się jaskrawo wśród zieleni drzew, przyjęła Franka górnice i odpychając. Właściwie nie wiedziało się, co mówić z tą panną, aby wzbudzić w niej choć trochę konwencjonalnej życzliwości. Niweczyła każdy wysiłek zręczną złośliwością i dlatego odrazu było się z nią na stopie wojennej.

Natomiast Stefa okazywała rozrzutny zapal Adonisowi. Miała jasno popielate kręcone włosy, jedwabne i miękkie, jak u pinczerka. Siwe oczy ciemniały od wewnętrznej gorączki, gdy tak podchodziła blisko i, rozmawiając z Jankiem, niemal dotykała go ustami. Janek zapominał przy niej o sobie, stawał się nawet mniej piękny.

Franek nie wiedział, jak potrafi wytrzymać wyraźnie obraźliwe miny Maryny. Ręce stały się zimne i nieprzydatne nawet do trzymania filiżanki. Niewątpliwie dostrzegały zielonkawe oczy Maryny każdą niezręczność gościa i nie usiłowały nawet ukryć pogardliwego osądu. Ale, gdy pod wieczór Łuczański poszedł do róż, rozmowa z panną jakoś się ułożyła.

Maryna, jakby już zmęczona własną niechęcią dla gościa, przyzwalała na rozwinięcie jakiegobądź tematu. Ale mówiła zbyt uczenie, popisywała się czytaniem, wymieniała tytuły książek, o których Franek nigdy nie słyszał i brała tak szeroki zasięg, że trudno jej było nadażyć. Gładziutki alt Maryny rozbierał abstrakcje, niczem pomarańczę i Franek milczał, do reszty już zgnębiony własnym nieuctwem. Pewnie, że była o parę lat starsza od niego, ale chyba nigdy nie będzie tyle wiedział i umiał. Wreszcie musiał się przyznać do tego i czerwony ze wstydu i gniewu, powiedział naiwnie:

— Zdałem dopiero maturę i naprawdę niewiele jeszcze umiem.

Maryna zaśmiała się wesoło i w tym uśmiechu odmieniła się. Już dobra i uprzejma opowiadała, że skończyła kilka semestrów prawa na lwowskim uniwersytecie, ale musiała wrócić na wieś, bo ojciec odmówił „subsydjów”. Może, gdy się tu wszystko prędzej skończy, będą musieli wyprowadzić się do Lwowa. Miała tam miłych kolegów i była napewno inna, niż tu. Zresztą ci ze Lwowa nie zapomnieli o niej. Pisują do siebie i wie wszystko, co się tam dzieje. A był tam taki jeden zdolny, nawet genialny, nazywa się nienadzwyczajnie, bo Wawar. Pisze przedziwne wiersze, które podburzają i wyszarpują czło-

wieka z siebie, z tego własnego gniazdeczka, jakim jest przecież każdy człowiek sam dla siebie.

Pokazała mu te wiersze.

— To nie jest poezja, to publicystyka — odważył się Franek.

— Pewnie, bo nie pisze o miłości, jaśminach i bzach!

Nie chciała słuchać, genjusz Wawara przeczył każdej teorii. Ale Franek mógł w tej sprawie obstawać przy swoim i znowu byli w wojnie ze sobą. Franek przyznał się wreszcie, że musi się trochę znać na wierszach, skoro sam pisuje i drukuje niebyle gdzie, bo w „Nowej Sztuce”. I już bez żadnej ambicji sięgał do kieszeni po notes z wierszami.

W pokoju chmurzył się już zmrok i z zamgłonego kąta szedł szept tamtej pary. Franek wyglądał kartkę, aby któryś ze swoich wierszy przeczytać.

— Nie, już ciemno! Niech mi pan to zostawi, sama przeczytam. Możemy się jutro popołudniu, powiedzmy o piątej, spotkać koło Stawów Rudańskich. Powiem panu szczerze, co myślę o tych pana wierszach.

Po takiej odprawie, maluczki i sam sobie śmieszny — pożegnał się z tą nieznośną panną. Widział jeszcze, jak Maryna bez szacunku związała w trąbkę zeszyt z wierszami i byłby chętnie wyrwał go jej z ręki, ale potajemnie pocieszał się: — Niech tylko przeczyta! Inaczej będzie jutro śpiewała!

Dopiero później, w powrotnej drodze przypomniał sobie, że nawet nie przyjrzał się Stefie, tyle tylko, że pamięta, jak gorąca była jej ręka, kiedy się z nią żegnał. A Janek został tam. Zakochany cymbał! Zresztą niewiadomo, może jest miłsza od Maryny, może mniej zarozumiała od tego rudzielca!

Następny dzień miał jednak swój punkt kulminacyjny w wyznaczonej schadzce. Wśród płaskich łąk ścieliły się Stawy, jak płachty niebieskiego atłasu. Dwa większe o szarpanych brzegach i jeden mały, okrągły, jakgdyby obrysowany cyrklem. Łąki żarzyły się kaczeńcami, a nieco wyżej podchodziła pagóreczką jeszcze zielonawa pszenica. Z prawej strony, za zadymioną zielenią kartofliska czatował czarny las. Tu zaczynały się bory rudańskie, rozległe, wspaniałe — iście książęce.

Na drodze znały się w mialkim kurzu pięciopalczastymi koronami ślady bosych stóp, a obok kopyta końskie wyłobily w pyłe niby małe pilśniowe kapelusiki. Gdy się dojeżdżało do Stawów, widziało się już dokładnie marszczenia na powierzchni

wody i drobne komary, proszące nad nimi, niby plewa.

Maryny nie było jeszcze. Dzień szumiał upałem i wilgotny zapach wody ledwie chłodził oddech, suchy od kurzu. Jaskółki, niby czarne strzały, godziły w rojowisko komarów i ich zgrzytliwy poćwierk ciał się w powietrzu, jak po szkle.

O księciu, do którego należał cały ten „kraj”, te wszystkie tłuste folwarki, te piękne, niezmierzone lasy — opowiadał mu swoim sposobem wszystko-wiedzący Janek. Zresztą i tak powietrze w tych stronach przepelnione było opowieściami o nowatorskich pomysłach księcia. — Na co się to zda — mówiono — skoro reforma rolna grozi mu więcej, niż komukolwiek? Chce się ratować browarami i cukrowniami, ale i tak go nie ominie.

Franek widział tego księcia w Jazłowcu, bo Adonis dzielił go łokciem, żeby się przypatrywał, jak to dziwo wygląda. Wistocie drobna twarzyczka księcia różowiła się, niby lukrowana ptysia. Ramiona uciekały wdół pochyłym daszkiem, ruch rąk wyginał się wdzięcznie, niby u rococowej damy. Adonis mówił o nim: księżniczka!

Nierówny tętent łamał się echem w lesie, koń Franka zastrzygł uszami i już można było widzieć, jak na chudym gniadoszu pędziła Maryna. Była bez kapelusza, w męskim ubraniu. Gdy się zbliżyła, Franek miał wrażenie, że poparzył sobie oczy o jej płonącą, rudą głowę. Zaśmiała się i nawet dość grzecznie przeprosiła za spóźnienie. I tak tu w niebieskim powietrzu, widząc ją zbliska, aż się przeląkł, że jest tak piękna. Nigdy u nikogo nie widział jeszcze tak patrzących oczu i tak śmiejących się ust. Nie można było spokojnie przypatrywać się temu, nie można było uwierzyć, że naprawdę istnieją takie czarne, wąskie brwi. Prawie nie śmiał mówić do niej, choć dziś właśnie była uprzejma i jakby koleżeńska.

Opowiedziała Frankowi, niby swojemu powiernikowi, jak spędziła dzisiejszy dzień, że ostro przemówiła się z ojcem, bo chce wrócić po wakacjach na uniwersytet. Oczywiście, nic na to nie może poradzić, bo nie ma pieniędzy, ale chyba sama jakoś je zdobędzie. Właśnie sama! Zwierzyła się także, że miała list od Wawara. Tak, prawie powiedziała mu wszystko, więcej nawet, niżby go w tej chwili mogło obchodzić.

Wskazała przed siebie szpicrutą:

— Tam budują nowy pałac dla księcia. Nowoczesny, cudowny dom! Proste linje, gładkie płaszczyzny, olbrzymie tarasy. Oh, napewno dobrze jest

być bogatym! I napewno ma ten książę za dużo, jak na jednego człowieka! Zresztą, jest miły i skromny. Lubimy się bardzo z tym księciem Augustem.

Franek musiał znów pomyśleć o Marynie, że jest dziwnie niesympatyczna. Należałoby mówić jej same przykre słowa, żeby ją nieco poskromić w zrozumiałstwie. Bo właśnie i ten Wawar i jednocześnie książę, a może komuś innemu o nim powie, że także i on. Stał tu przecież, jak głupiec, i uspokajał konia, który cierpiał od much. Stał głupio i nawet uśmiechał się, słuchając, jak się przechwala. I w dodatku zbierał przecież jej głos tysiącem uszu i patrzył na nią tysiącem oczu. Była tak mądra, że pewnie widziała, jak ją podziwia, ale mimo swojej mądrości, nie mogła się domyśleć, co o niej sądzi. Nieliczne słowa, które mógł do niej powiedzieć, zaczynały się w dygocie warg. Jakgdyby spłówał wewnętrznie wobec blasku Maryny i jej pewności siebie.

Powiedziała mu wreszcie, że przeczytała jego wiersze. Owszem, podobają się jej. Przepisała nawet kilka dla Wawara.

Franek wyobrażał sobie, że jest zbitym psem. Niziutko leżał, podeptany jej małymi butami. Doprawdy, zasłużył na to, bo poco pchał się z temi wierszami, które są tak mało warte!

Wyciągnęła zeszyt z cholewy buta i podawała mu z łaskawym uśmiechem.

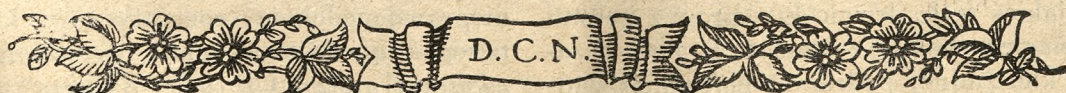
— A teraz, dowidzenia! Jadę dalej, bo muszę się dziś zobaczyć z Augustem. Jest o tej porze na budowie. Proszę, niech pan przychodzi do mnie, bardzo się miło z panem rozmawia!

Gniadosz Maryny poderwał się i pobiegł na zdartych nogach. I wtedy odrazu prysnął czar. Dlaczego milczał? Dlaczego nie jej nie powiedział? — Psia krew! — Miło się ze mną rozmawia!

Koń Franka galopował ostro i ziemia chwiała się w oczach w takt biegu. Zajechałby tak na koniec świata, aby wytrząść z siebie całą tę hańbę! I tak, pędząc, jak poseł ze sztafetą, minął Iwasia, wlokącego się o lasce. Chłopak miał w rękę olbrzymi snop ostróżek.

— A ten obraził się już na mnie, że go wtedy nie zaprosiłem zbyt grzecznie na rozmowę!

Iwaś wistocie nie był od wielu dni widzialny i Franek prawie zapomniał o jego istnieniu. Ale, gdy w nocy przyszedł do swojego pokoju, pachniało miodem i sianem. Bukiet ostróżek w wielkim glinianym garnku stał na stole. Franek pomyślał, że jednak ten Iwaś zasługuje na trochę życzliwości i że wcale nie pięknie się z nim obszedł. A teraz wyglądało tak, jak gdyby za ten bukiet polubił Iwasia.



M. H. SZPYRKÓWNA

Z WĘDRÓWKI

II.

JADĘ DO LOURDES.

Ktoś gdzieś i jakoś zdążył mi szepnąć przed wyjazdem, że podróżując po miejscach mało znanych, najlepiej telegrafować zawczasu do hotelu dworcowego, noszącego w kilku krajach zgodną nazwę: Hotel Terminus. Oceniałam tę radę odpowiednio i nie martwiłam się wobec tego bynajmniej, że przyjadę późnym wieczorem; wybrałam właśnie jak najpóźniejszy pociąg, żeby nie było zbyt gorąco. O ironjo! Nietylko było gorąco, jak to w maju, kiedy maj się uprze, ale nadto całym pędem wjechaliśmy pod Bordeaux w sam środek olbrzymiego pożaru, który nas owionął iskrami i dymem: płonęły lasy wzdłuż toru. Przelecieliśmy przez nie, jak smok przez gorejące piekło. Nie zapomnę wrażenia, kiedy, nie wiedząc jeszcze, co to być może, zobaczyłam z okna w ciemnej nocy na horyzoncie... dwa wielkie, czerwone słońca, wschodzące od strony zachodu. Byłam przekonana, że wjeżdżamy w miraż nocny: może tu jest na nie moda? Ale już za chwilę było ich trzy, i z okrągłych zaczęły się robić podłużne, jak płonące stosy. Potem zrozumiałam już, że to są potężne ogniska, a za kwadrans gnaliśmy wśród morza płomieni z obu stron. Jest to podobno niezbyt rzadkie zjawisko i nikt z miejscowych przesadnie nie był tem przejęty: przy upałach zdarza się taka iluminacja raz po raz.

Zaczęły się już zjawiać pierwsze mury Lourdes, kiedy wszyscy przypadli do okien: naprawo, w głębi jakiejś ogromnej bryły, która się okazała Bazyliką, jarzyło się coś, najpodobniejszego do wielkiej choinki. Migotało wiele, wiele świec.

— Grota! To grota! — pokazywano sobie wzajemnie światelka. Pociąg przeleciał i za chwilę utknął na stacji. Nie widziałam nic z otoczenia i zresztą byłam nieżywa ze zmęczenia. Stanowczo, kolej to jest kannibalski sposób podróżowania! Zwłaszcza, nie wymawiając, we Francji dla cudzoziemca. Konduktora nie znajdzie się ani ze świeczką, przesiadań masami, nikt absolutnie nie umie poinformować ściśle, i biedny etranżer miota się w oszalałej trwodze na każdej stacji, gromadząc sprzeczne wiadomości: czy to tu, czy też wręcz gdzie indziej ma się przesiąść i jak? Nasze pociągi są przytem wygodniejsze, co do szerokości kanap i miejsca na rzeczy, ale tam zato ogromne przestrzenie przebiega się bez męczących stacyjek co kwadrans.

Tragarz porwał mi rzeczy, pogroziwszy pobieżnie andrusom, którzy nas obkoczyli, jak gończe zdobywczy, i przez jakieś małe drzwiczki wprost z peronu znalazłam się nagle w hollu Terminusa. To mnie oczarowało niezwykle. Żadnej podróży wehikułami, żad-

nych dorożkarzy, taksjarzy, wędrówek po nocy przez miasto! Terminusy francuskie, mieszczące się często w budynku dworcowym lub bezpośrednio z nim połączone, są stanowczo inowacją u nas do wprowadzenia. Nasza „Polonja“ nie jest, mimo bliskość, Terminusem. Dobrzeby o tem pomyśleć przy planowaniu Dworca Centralnego. Ułatwia to również nadzwyczaj zamawianie hotelu cudzoziemcowi, który nie wie nie raz, jak się nazywa przyzwoity hotel w Polsce, aby do niego zadeszować o pokój: Terminus jest już terminem kosmopolitycznym i ułatwia zadanie.

Zasnęłam, jak zabita, i obudziłam się nazajutrz późno. Szalenie byłam ciekawa tego Lourdes. Czas jakiś przy oknie mocowałam się ze skomplikowanym systemem rolet i żaluzyj, aż wreszcie wszystkie naraz odskoczyły — i krzyknęłam z zachwytu. Nie! Czemuż, tyle słysząc o pielgrzymkach, nigdy nie słyszałam, że jest tu tak prześlicznie?! Czemu ludzie niedoceniają cudownej oprawy, jaką Bóg ozdobił Lourdes, ten najpiękniejszy klejnot w różańcu cudów Marii?...

Lourdes z ogólnego krajobrazu może najbardziej podobne jest u nas do Zakopanego — tylko w minjaturze, w złagodzeniu i w... ukwieceniu. Jest to małe, górskie miasteczko w Pirenejach, uczipione do skał, które spływają ku ziemi pnączami, kwitnącemi krzakami i bujną, południową roślinnością w sposób jak najbardziej malowniczy. Skutkiem tego architektura musi tam oczywiście być swoista, jak zresztą wszędzie na południu, i to nas tak czaruje: tarasy, schodki, wykusze, wieżyczki i ganeczki, oplecione glicynjami i różami, filary i podcienia, poetycznie oplecione bluszczem i winem, wszystko to dla nas jest nowe i wzbudzające ochy i achy szczerzej zazdrości. Gdybyż mieszkać w takim domku, gdybyż mieć taką willę!...

Oczywiście, że największym urokiem Lourdes jest jego zielona i kwietna małość na tle wspaniałego amfiteatru śnieżnych Pirenejów. Drugim urokiem — jest wspaniałe, stare zamczysko, wiszące na samotnym cyplu skalnym nad miasteczkiem, jak sępie gniazdo nad jaskółczą gminą. Rycerskie i krwawe epepeje emanują z pod nieszkodliwie muzealnych dzisiaj arkad i krużganków, tonących w przepychu kwiatów. Przeszłość tam siadywa sobie na skale o zachodzie, złożony skrzydła, z głową, wspartą na rękach. Siwa przeszłość! Zamek ma w swoim dobytku „drogę Saraceńską“, którą najeźdźcy tego imienia wdzierali się po jego skarby, i „bramę Anglików“, którzy zawładnęli na czas jakiś zamkiem, i bodaj nawet jakiś nieprawdopodobnie romantyczny krużganek nad przepaścią z tajemniczymi przejściami do podziemi, zwany „Tarasem Czarnego Rycerza“. O łukach zam-

kowych arkad, z pod których nagle wyświełają się nieprawdopodobieństwa najpiękniejszych perspektyw na góry, łąki i doliny, o jego mrocznych salach i grozie niezdołanych murów, na których kwitną niewinne róże, możnaby pisać epopeje. Możliwość także pisać epopeje o rozmaitych nagłych zakątkach miasteczka: przy wodospadach, za starym klasztorem, u „Wilczej Paszczy“, gdzie grotty z nieprawdziwego zdarzenia są do oglądania za „jedne pięćdziesiąt groszy“ — i o wielu, wielu innych szczegółach. A jeżeli się tego nie robi, w tej mierze przynajmniej, coby należało, to z zupełnie innego powodu. Bo magnesem Lourdes i jego atrakcją nie jest, ani jego piękno, ani jego historia, tylko — mała, zgubiona w skałach za świątyniami Grota. Miasteczko, zamek i okolice Lourdes nikną, schodzą na drugi plan i stopniowo giną dla każdego, kto zbliży się do potężniejszego stokroć wewnętrzną mocą ogniska, ściągającego tu rokrocznie tysiadczy rzesze, a którym jest Bazylika, z dniem i nocą gorejącym sercem swoim — Grota.

Słyszałam przed wyjazdem do Lourdes wiele głosów rozżalonych lub zawiedzionych co do swoich wrażeń. Mówiono o karocie, o kupczeniu świętościami, o sztuczności ceremonjału religijnego. Muszę powiedzieć w tem miejscu ryczałtem i odrazu, że sąd taki, jeżeli nie wypływa wogóle z uprzedzenia i złej woli, jest bezwzględnie nieprzemysłany. Poprostu, nie zdaje się sobie sprawy z tego, dla kogo i poci Lourdes zostało stworzone! Istnieje nie dla poszczególnych inteligentów lub mistyków, przybyłych na rozmyślanie: Lourdes — to *pielgrzymka*! Miejsce uzdrowienia i pociechy dla rzesz, nie dla jednostek. Ceremonjał dla tłumu musi podlegać innym zasadom, niż modlitwa indywidualna: potrzeby chłopca z Sabaudji, czy mieszczańki z Paryża muszą znaleźć wspólny język, każdemu z nich zrozumiały i bliski! A jest to zawsze — język patosu, mowa najgłębiej poruszająca uczucie i wiarę, bo inaczej wystarczyłoby, jak u chińczyków, kręcić maszynkę z nawiniętą modlitewką przed posągami bóstwa — i modlitwa byłaby uskuteczniła. Dusza tłumu czeka wzruszenia, momentu uczuciowego, wstrząsu — i wstrząs ten ma. Dla przebiccia ich codziennej zatwardziałości trzeba ostrych odczynników, które spadają na serce, jak ognisty raz, krzesząc z niego ogień wiary lub dobywając krynice łez. A o tem, że w Lourdes, przez które przeciągają rocznie setki tysięcy pielgrzymów, muszą być w ogromnych ilościach sklepy ze świętościami, aby na ich potrzeby nastarczyły, nie trzeba za dużo mówić, wystarczy chwila zastanowienia. Nikt chyba nawet z pośród nas, inteligentów, nie opuścił Lourdes, nie kupiłszy sobie jakichś paru drobiażdżków na pamiątkę. Mają się one, te małe medaliki i obrazki, do naszych przeżyć duchowych tak, jak kółko na mapie z nazwą naszego rodzinnego miasta do tego, czem ono dla nas jest w rzeczywistości. Nie są odpowiednikami: są symbolem, wywołującym w nas cały kompleks

przeżyć i obrazów, nieraz najgłębiej nam drogich. Cóż dziwnego, że ci ubodzy wyrobniacy, kalecy, żebracy niemal, cała biedota świata, która do Lourdes ściąga po uzdrowienie i pociechę — po *uświęcenie* swego dnia powszedniego, — cóż dziwnego, że ci wszyscy chcą uwieźć ze sobą, w szarą powszedniość dalszego życia, widomą pamiątkę olbrzymiego ewenementu, jakim dla niejednego ta pielgrzymka po kres życia zostanie? Że cenne i miłe im są pospolite medaliki i naiwne obrazki, które w inteligencji wzbudzają politowanie?... Ostrożnie z tem politowaniem! Ważniejszym jest to co bogactwo serca wnieść w ubóstwo symbolu potrafi, niż sam symbol! Wymagamy nieraz dlatego staranności wykonania obrazów i pamiątek, że nie stać już nas samych niczem na ich wzbogacenie: przeciwnie, czerpiemy z ich zewnętrżności miłe oku wrażenia. Prostacy są szczęśliwsi: jak małe dzieci, nadają treść każdej formie, która pobudzi ich wyobraźnię. Tysiące pielgrzymów z Lourdes muszą mieć tysiące pamiątek z Lourdes, nieprawdaż? A mają na nie tylko skąpe grosze, więc muszą to być drobiazgi groszowe. A nie pojedają po nie do Paryża, nieprawdaż, tylko będą chcieli kupić je na miejscu pielgrzymki! Więc Lourdes musi mieć sklepy z medalikami w tysiąckrotnie większej, niż gdzieindziej ilości: tak, czy nie? Z groszowego medalika dla niejednej duszy ludzkiej tam płynie więcej łaski niżby jej można nabyć z najdroższym obrazem Rafaela — jeżeli łaskę wogóle nabyć można! Pozwólmy działać w Lourdes innej mądrości, niż nasza, bo zresztą i tak jej nie zatamujemy drogi! Ale wprzód nim oskarżać, pomyślmy chwilę i policzmy do dziesięciu: może zmienimy zdanie.

Ponadto, muszę zaznaczyć rzecz, która mnie miłe uderzyła: o żadnym kramarstwie w obrębie Bazyliki niema mowy. Bazylika, ze wszystkimi swymi świątyniami, zajmuje ogromny i wspaniały park leśny, oddzielony od miasteczka mostem nad szumiącą strugą. Za tym mostem zaczyna się królestwo ciszy, dzwoniów, kwietnej zieloności i białych posągów na trawnikach, które wzdłuż głównej alei pielgrzymują do stóp wspaniałej świątyni, łukiem dwojga ramion obejmującej olbrzymi plac przed gankiem. Tam się odbywa Błogosławieństwo Chorych. Dwoma ramionami z obu stron placu można się podnieść na dach świątyni, gdzie się strzeliście wznosi drugi, piękny kościół, zbudowany na skale, do której przyparty jest pierwszy. A w bocznej grocie tej skały, jakby w profilu kościołów, znajduje się pieczara z wiecznie gorejącym świecznikiem w kształcie choinki, gdzie jaśnieje cudowny posąg Matki Boskiej z Lourdes, dłuta rzeźbiarza Fabiszewskiego. Kompleks tych świątyń nosi nazwę Bazyliki, i stanowi w Lourdes państwo w państwie, jak Watykan w Rzymie — i praw tych nie kwestjonuje nawet w ateistycznej i wolterjańskiej Francji dziś już nikt

O dziejach tego wyzwolenia trzeba jednak powiedzieć słów parę.

STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW

Z DZIEJÓW ENTUZJAZMU *)

Objawem niesłychanie rzadkiem w chaosie życia powojennego jest pietyzm. To pomieszane uczucie żarliwej czci, uroczystej powagi i lęklivej tkliwości wobec szacownych pamiątek i dostojnych cieni jest właściwością jednostek i narodów o starej kulturze. W tę atmosferę pietyzmu, pełną nabożnego skupienia, wprowadza nas ostatnia książka Aleksandra Kraushara, poświęcona szlachetnym душom kobiecym zeszlowieczonej Polski. Poświęcona! Nigdy może to słowo trafniej nie wyrażało intencji autora, jak w danym wypadku. Podchodzi on do swego tematu z namaszczeniem, jak do relikwiarza i zaiste, te skrzętnie zebrane fragmenty żywotów są jak ułamki kosteczek błogosławionych: dotykamy ich, pewni, że i na nas spłynie z nich źródło łaski.

Ze starych raptularzy, z pożółkłych szpargałów, z własnej pamięci, bogatej i pakownej, jak biblioteka, snuje sędziwy wiekiem, a młody duchem czci-ciel ideału, przedziwo wspomnień wokół postaci niewieścich, które dla pokolenia powojennego stały się niemal legendą. Imiona Klementyny z Tańskich Hoffmanowej, generałowej Sowińskiej, Klaudyny Potockiej, Żmichowskiej, Ilnickiej, Deotymy, głucho



Klementyna z Tańskich Hoffmanowa.



Deotyma z ojcem na wygnaniu syberyjskim.

brzmia w sercach ogółu dzisiejszej młodzieży, wywołując w jej świadomości obraz mętny, niewyraźny, o rysach zamazanych.

— Staroświecczyzna! — oto komunał, którym się zbywa niechętnie pretendentów do pośmiertnej pamięci. I jak większość komunałów i ten nabiera powagi nieurzędowego dogmatu. Rośnie mur obojętności między dwoma światami, które zatraciły ze sobą bezpośredni kontakt. Wyłomu w tym murze dokonują ci, których ze światem umarłych łączy mocniejsza nad śmierć nie sentymentu. Na drodze uczuć rodzinnych Boy-Żeleński odnalazł niedawno i „odkrył” niejako dla nowoczesności postać Narcyzy Żmichowskiej dzięki przyjaźni, jaka łączyła matkę Boya ze znakomitą pisarką.

Aleksander Kraushar z wymienionych „Polek twórczych” znalazł osobiście Ilnicką i Deotymę, był częstym gościem na tradycyjnych „wtorkach” i „czwartkach”, ale niemniej bliskie mu są duchowo i pozostałe niewiasty, znane mu z tradycji i piśmiennych dokumentów. Dla bystrego badacza, „dla zawodowego miłośnika starych szpargałów” czasem i kilka pozornie błahych słów, skreślonych na zmiętym karteluszkach, żywszą ma wymowę od płomiennej filipiki, wygłaszanej celowo z myślą o audytorjum. Jaką głębię uczucia, ile rzewnych wspomnień umie wy-

*) Aleksander Kraushar: „Polki twórcze czasów nowszych”, serja pierwsza. Warszawa. Księgarnia F. Hoesicka. 1929.



Marja Ilnicka.

wolać samem przytoczeniem suchej treści dwóch zeszytów, pisanych ręką Klementyny z Tańskich Hoffmanowej i generałowej Sowińskiej, a zawierających listę ofiar na cele narodowe i protokoły posiedzeń Komitetu dobroczynnego pań z lat 1831 i 32. Oto przesuwa się przed naszymi oczami sylwetki dzielnych samarytanek, które, jak stwierdza w swych Pamiętnikach Klementyna — „prawdziwie godnymi nazwiska polek się okazują”, łącząc chrześcijańską miłość bliźniego z wysokim poczuciem godności narodowej i po upadku powstania.

Oto drobny, ale charakterystyczny epizodzik, rysunek piórkiem, nie potrzebujący komentarza. „Jedna pani Zdżarska bardzo się zajmuje jeńcami, będącymi na Pradze. Idąc raz do nich, dla błota, weszła na wierzch okopów. Żołnierz, będący na warcie, chciał ją z nich strącić słowem: „nie wolno!” — „Jak to, nie wolno?” — zawołała. „Te okopy, my polki, usypaliśmy naszymi rękoma, to nasze!” Żołnierz, czy się przeląkł, czy nie zrozumiał, dosyć, że powiedział: „stupaj!”.

Związek pań zaczyna być pilnie śledzony przez władze rosyjskie, dopatrujące się w nim charakteru konspiracyjnego. Zacieśnia się wokół niego sieć szpiegów i prowokatorów. Wyjątki z tajnych raportów, dostarczanych feldmarszałkowi Paskiewiczowi o udziale księdza Benjamina Kapucyna w pracach Komitetu Pomocy rzucają ciekawe światło na tę postać konspiratora w habitcie.

Ciężka atmosfera śledztwa przygniata również „Kartkę z życia Gabryeli Żmichowskiej”. Ten epizod więzienny Narcyzy i jej przyjaciółki Pauliny Zbyszewskiej jest cennym przyczynkiem do tej marty-

rologji polskości, z której natchnienie czerpały nieugięte „entuzjastki”.

Powiemem z zaświatów technie anielska postać Klaudyny z Działyńskich Potockiej (1802—1836), jednej z tych niekanonizowanych świętych, z tych lamp ducha, które całkowicie wypaliły się w ogniu poświęcenia i miłości bliźniego. Podczas powstania 1831 r. i epidemii cholery przywdziewa szarą sukienkę siostry miłosierdzia, z którą już się nie rozstanie nigdy, i nad łóżem konających rozlata atmosferę słodyczy i ukojenia, która ludziom, wijącym się w męce, pozwala umrzeć w pogodzie Zdumiewającą zaiste w tym wątle ciebie jest moc ducha, która tej gwiazdzie samarytańskiej pozwoli zabłysnąć na firmamencie emigracji i świetlistym szlakiem wpleść się w życie naszych poetów romantycznych: Mickiewicza, Garczyńskiego, Witwickiego, Odyńca i Pola. Ona to pielęgnuje w Bex w Szwajcarii dogorywającego na suchoty Garczyńskiego, ona to na dwa lata przed własną śmiercią pojedzie na grób jego do Awinionu i listek na mogile jego zerwany pośle Mickiewiczowi na pamiątkę, zanim sama nie spocznie na obcej ziemi, naprzód na cmentarzu geneńskim, potem w grobowcu generała Zamoyskiego w Montmorency.

„Klaudyno, módl się za nami!” — napis wyryty na pierścieniach, rozdanych gronu jej przyjaciół, to najlepszy wyraz tej religijnej czci, jaką romantycy nasi otaczali zmarłą. Była to zaiste gwiazda o niezmaconym blasku w konstelacji wielkich duchów.



Klaudyna Potocka.

Zbliżamy się do współczesności: Marja Ilnicka, założycielka i pierwsza redaktorka „Bluszczu”, z którą możemy duchowo obcować w najdawniejszych rocznikach naszego pisma, to niemal pulsująca rzeczywistość wobec legendy o Klaudynie, szczególnie, dla autora „Polek twórczych”, który na jej „wtorkach” zapoznał się z całym kółkiem bywających u niej „sybiraków” i przedstawicielami ówczesnej Młodej Polski. Ilnicka miała już wówczas za sobą bogatą przeszłość patryjotyczną. Małżonek jej, Tomasz Ilnicki, skarbnik Rządu Narodowego w 1863 roku, powierzył jej niebezpieczne obowiązki archiwariuszki dokumentów i korespondencji powstańczej. Rezultatem tej misji było uwięzienie obojski.

Ilnicka miała już wówczas za sobą bogatą przeżycia, znękaną długimi badaniami i morzoną głodem w Cytadeli, wypuszczono na wolność. Ciekawym jest przełom psychologiczny, jakiego dokonało więzienie w młodziutkiej, jeszcze niezupełnie skryształizowanej indywidualności Ilnickiej. Z istoty słabej, marzycielskiej wyrosła na człowieka, świadomego swych obowiązków wobec ogółu i umiejącego konsekwentnie przeprowadzić linię swych twórczych zamierzeń. Nie poddała się ideologii cierpiętnictwa, ale w pracy piśmienniczej i redakcyjnej odnalazła siebie, zdobyła w zakresie osobistym to, do czego w zakresie politycznym wspólnie z całą Polską tęskniła: niepodległość. Książka Kraushara zapoznaje nas z jej najbliższym otoczeniem. Przesuwają się przed naszymi oczami, jak żywi, goście wtorkowi: Aleksander Krajewski, Włodzimierz ks. Czetwertyński, Henryk Wohl, Stanisław Krzemiński, Pług, Jan Zacharjasiewicz, Felicjan Faleński z żoną, Djonizy Henkel, a obok starszego pokolenia młódź literacka: Miron, Gawalewicz, Kazimierz Juljan Jasiński, Artur Oppman. Dla każdego z nich ma autor słówko ciepłe i rzewne wspomnienie. Przecież z tych poczerwiałych twarzy sybiraków, czy z pod rozwichrzonych czupryn „warszawskiej cyganerji” promiennymi oczami patrzy na niego własna młodość.

Były to czasy, kiedy kultura salonu przeżywała swoją ostatnią wiosnę. „Salon literacki” to dziś anachronizm, a przecież dopiero dwadzieścia jeden lat minęło, kiedy zamknęła powieki Deotyma, a wraz z jej śmiercią zatrzasnęły się drzwi ostatniego salonu literackiego w Polsce. Dodajmy, że był to salon nawskroś klasyczny, kto jego próg przekroczył musiał zapomnieć, że istnieje Wyspiański że kiedyś żył i tworzył Słowacki. Nietylko marmurowe popiersia, patrzące oczami bez źrenic na gości czwartkowych, ale i atmosfera literacka tego salonu miała lat sześćdziesiąt.

Kraushar w swym szkicu p. t. „Deotyma. Tragedja pozgonna żywota i twórczości poetki”, mało poświęca uwagi towarzyskim zasługom poetki. Chodzi mu o odparcie uwłaczających jej pamięci zarzutów natury politycznej, które pojawiły się w prasie kilka lat temu. Umarli bronić się nie mogą, choćby ciosy, podstępnie im zadane, godziły w ich najświętsze uczucia. Autor „Polek twórczych” nie poprzestał na szlachetnym odruchu instynktownego protestu, ale poparł swoją apologję Deotymy przekonywującymi dowodami archiwalnymi.

W postawie tego weterana 63 roku wobec cieniów niewieścich, które z godnością niosły zarówno wieniec z wawrzynu, jak koronę cierniową, jest moment rycerskiego hołdu, dalekiego od wszelkiej krytyki, czy oceny artystycznej. Waga, którą autor mierzy ciężar gatunkowy tych duchów, nie jest wagą ich talentu, ale wagą charakteru i zasługi.

Nie kult piękna, ale religja cnoty feruje tu wyroki. Autor nie zastanawia się nad tem, jak pisała Deotyma, Ilnicka, Hoffmanowa, czy Żmichowska, ale notuje skwapliwie ich czyny społeczne i patryjotyczne, bezcenne klejnoty i grosze wdowie, składane na ołtarzu sprawy narodowej i nieśmiertelnych ideałów ludzkości.

I dlatego o książce tej, pomijając jej wartość dokumentalną, powiedzieć możemy, że jest „poświęcona”.

JADWIGA KRAWCZYŃSKA

NA WODZIE

Matki płakały... widząc swoje córki na niebezpiecznej drodze... gniewały się na ich niezdrowe zachcianki, oburzały się zuchwalstwem dziewcząt, które porywają się na zgoła niekobiece sprawy; odwracały ze zgrozą oczy od panien przebranych w spodnie i — o nieba! — pokazujących nagie, niczem nieokryte kolana i łydki, narażających swą liljową cerę na brutalne promienie nieokrzesanego słońca... psujących sobie wysiłkiem dłonie i ramiona.

Kura nad kaczetami, puszczającymi się na wodę, nie boleje bardziej, niż zacne matki nad pierwszym pokoleniem wioślarek... Tak przynajmniej chce legenda Warszawskiego Klubu Wioślarek, może troszkę ogólnikowa, w każdym razie wiarogodna, zważywszy, że dzieli nas od niej już przeszło 25 lat — a w tem lata potrójnie przynajmniej ważkie dla wszelkich zmian — lata wojenne i powojenne.

Dla ówczesnego społeczeństwa, te sportsmenki



Na doroczne otwarcie przystani przybyła p. Prezydentowa Mościcka. Z lewej strony prezeska W. K. W. dr. Zofja Zabawska - Domostawska.

były czemś w rodzaju niebezpiecznych emancypantek... Któraż „dobrze myśląca” — „prawdziwa kobieta” mogłaby się dopuścić podobnych ekstrawagancji?

* * *

Szaleństwa młodości... to było jedno z tych, które nie mijają i dziś te same pierwsze wioślarki, które tyle zmartwienia swym rodzicom przyczyniały, nie tylko że nie... ustatkowały się, lecz przyprawiają na przystań swoje córki, które tymczasem podrastają lub zupełnie dorosły — i razem z nimi urządzają wyprawy wioślarskie i pływackie po Wiśle, pilnie razem z nimi odprawiają treningi i nie opuszczają żadnej uroczystości klubowej, czy to są regaty w sezonie, czy zwyczajne wieczorynki w zimie.

W jednakowych mundurkach, granatowych krótkich majteczkach i białych koszulkach sportowych bez rękawów wyglądają na starsze siostry swych córek.

To jest nagroda za ich krnąbrną zuchwałość wobec własnych matek. Koleżeństwo dwu pokoleń spełnia się w najlepszej harmonii. Lada dzień, a nadejdzie i trzecie pokolenie...

* * *

Od wody — zdrowy, orzeźwiający powiew. Czyste powietrze, jakiego nie znajdziesz w całym mieście wśród osiedli ludzkich. Łagodny szmer fali wiślanej, szarej, wytrwałej, jak trud codzienny, dążącej do wielkiego morza — wzór wysiłków, prowadzących do celu. Woda — spokój, woda — żywioł, woda — legenda. W obcowaniu z Wisłą, stałem, nieustannie — zdrowie, hart ciała i ducha, pogoda umysłu, wypoczynek po pracy i zachęta do wypraw dalekich, poza widome, zbyt ograniczone horyzonty — oto dary, jakie otrzymują miłośniczki wiślanego sportów,

I jeszcze jedno: koleżeństwo i współzycie w dużej, wspólnym celem zjednoczonej gromadzie. Solidarność przyjacielska na równych prawach, określonych regulaminem, a współzawodnictwo, otwarte wysiłkiem, zdatnością, wytrzymałością i kulturą moralnych i fizycznych walorów. Bo nie tylko siła i zręczność, ale i odwaga i zimna krew i władza, zdobyta nad sobą i nad ludźmi.

I jeszcze coś bezcennego: wesołość i dobry humor. Pogoda, rozkwitająca nieustannym uśmiechem. Radością wobec całego świata. Zżyciem się z pięknem przyrody. Poczuciem własnej siły i zdrowia, równowagi wewnętrznej.

* * *

Na przystani Warszawskiego Klubu Wioślarek, najstarszej placówki sportu kobiecego w Polsce, spotyka się dziś około 700 młodych kobiet, do których można bez ochyby zastosować powyższą charakterystykę.

Są wśród nich osoby różnego typu, różnego wykształcenia, różnych zainteresowań społecznych. Klub jest demokratyczny. Dbą tylko o wprowadzanie kobiet pracujących i studentek — bo te najbardziej sportu i udostępnienia ćwiczeń fizycznych potrzebują. Ale wspólne w gromadzie cechy uderzają: otwarte spojrzenie, uśmiech, energia w rysach, wesołość w mowie, krok gibki i elastyczny — niezawodne zwiastuny radości życia.

By nie wybujała nad miarę, tamy karność i organizacji niewidzialną stawiają granicę. A sprężysta gospodarka uniemożliwia przekraczanie przepisów i fermenty niezadowolenia lub niechęci.

Gospodarka kieruje się zasadami samowystarczalności i wręcz robinsonową zapobiegliwością: co



Chrzest pierwszej żaglówki. General Zaruski „ojcem chrzestnym”.



Warszawskie Koło Wioślarek. — Osada regatowa na Wiśle.



W pływalni Warszawskiego Koła Wioślarek.

członkinie Klubu mogą zrobić same, własnymi rękami — to napewno nie dostaje się na listę wydatków gospodarczych. Nietylko naprawy taboru wioślarskiego, malowanie łodzi i wiosel, nietylko uprawa ogrodu i sadzenie krzewów, kwiatów, porządki i firanczki w oknach — ale nawet odmalowanie budynków, które w tym roku otrzymały bajecznie kolorowe szaty — jest dziełem rąk wioślarek.

Wzorowej organizacji i gospodarki zazdroszczą Wioślarkom inne kluby sportowe.

Dzięki ścisłemu porządkowi we wszystkich działach pracy, członkinie mogą odnosić korzyści istotne. Mają — mimo małej ilości łodzi, zaledwie 25! — punktualne treningi i wyjazdy, lekcje wiosłowania i pływania, gimnastykę w zimie, treningi zimowe wioślarskie w basenie krytym, mają sekcję narciarską w zimie, a w lecie sekcję żeglarską, która codziennie ćwiczy się na jedynej dotychczas żaglówce. Rozbudowa życia wewnętrznego Klubu doprowadziła do różnorodnych kierunków; członkinie organizują sekcję tenisową, ping-pongową, gier ruchomych, robót ręcznych i śpiewu... Każda może znaleźć grupę koleżeńską o podobnych sobie zainteresowaniach.

* * *

Najbardziej przecież istotne sprawy: wioślarstwo spacerowe i turystyczne, oraz pływactwo mają fanatyczne zwolenniczki.

Jeszcze daleko do końca sezonu, a już obecnie Klub notuje 2.000 wyjazdów na wodę i kilkadziesiąt wycieczek turystycznych powyżej 100 kilometrów.

Dwie epickie wyprawy przysporzyły w tym roku laurów dzielnym przedstawicielkom Klubu.

Jedna — to 5-dniowa wyprawa łodzią po Warcie z Sieradza do Poznania. Wzięły w niej udział cztery członkinie W. K. W., pp. R. Meleniewska, H. Zubrzycka, Wł. Kecel i M. Mironowiczówna.

Druga — to zuchwała ekspedycja morska. Wisła do Gdańska a stąd przez „małe morze“ do Kuźnicy na Helu i potem dookoła półwyspu na pełny Bałtyk do Jastarni. Trzy „asy“, pp. Dr. Z. Zabawska-Domośławska, H. Kożuchowska i N. Pieniążkiewiczówna, budziły w tej drodze powszechny podziw marynarzy i rybaków bałtyckich, oceniających niebezpieczeństwa wyprawy na zwyczajnej łodzi turystycznej. W dodatku szlak blisko 600 kilometrów przebyły w 8 dni!

Ważniejsze społecznie od takich „wyczynów“ sportowych, pięknych jako dowody dzielności indywidualnej, jest wciąganie coraz szerszych zastępów kobiecych w uprawę sportów wodnych, zdrowych, szlachetnych i estetycznych.

Trudno o wszechstronniejsze ćwiczenia fizyczne, o lepszą gimnastykę na świeżem powietrzu, jak wioślarstwo i pływanie.

„Nie wysokie obcasy, nie gorset zrobi cię piękną — apelują propagatorki sportów wodnych — wyrzeźbi cię ruch i woda“.

Z Syreną w godle klubowym rywalizować o kształt, wdzięk i niesamowity urok?

Któż się nie pokusi — chyba, że jest beznadziejnym szczurkiem lądowym...



Z TEATRÓW

TEATR LETNI

„Proces Mary Dugan” — rozprawa sądowa w 3-ach aktach Bayarda Veilera. — Przekład Emila Chaberskiego.

„Zabiła, czy nie zabiła?” — oto pytanie, które przez cały wieczór trzyma nerwy widzów w napięciu. W miarę rozwoju akcji, a szczególnie od chwili ukazania się na scenie brata oskarżonej, który zajmuje miejsce jej obrońcy, zagadnienie modyfikuje się nieco.

„Kto zabił?” — pytamy, pewni już, że uroczą Smosarska nie może być morderczynią. Zaczyna się poszukiwanie zabójcy, które przyprawia o gorączkę nie tylko faktycznych uczestników rozprawy, ale i publiczność, odgrywającą fikcyjną rolę ławy przysięgłych.

Autor jest znakomitym znawcą psyche ludzkiej. Gra nie tylko na naszych nerwach, ale i na naszych zainteresowaniach społecznych i uczuciach osobistych. Wciąga do współpracy zarówno naszą wrażliwość intelektualną, jak i emocjonalną, — sami nie wiemy, kiedy i jak ten czarodziej opanowuje nas całkowicie i bez reszty. Nie mamy czasu odetchnąć, nie mamy siły oderwać się od tego, co się dzieje na scenie, jesteśmy zdani na łaskę i niełaskę jakiejś prymitywnej potęgi, z której istoty nie zdajemy sobie nawet sprawy. I dopiero po wyjściu z teatru i po ochłonięciu z zupełnie szczerego wzruszenia, zaczynamy rozumieć, że jesteśmy dużymi dziećmi, które dały się wziąć na lep najnaiwniejszym efektem na świecie. Ale to nam nie sprawia zawodu i nie psuje wrażenia. Może właśnie zadanie teatru przyszłości polegać będzie na tem, żeby człowiekowi dorosłemu dać możliwość choć przez jeden wieczór być dzieckiem? Tak, czy inaczej „Proces Mary Dugan” będzie napewno sugestjonował tłumy, bez względu na ich poziom umysłowy i smak estetyczny.

Sztuka była zagrana koncertowo. Rzadko kiedy byliśmy świadkami tak doskonałego zżycia się aktora z treścią i nastrojem dramatu.

Dyskretna, opanowana gra Smosarskiej w roli Mary Dugan miała dużo szlachetnego wyrazu. Warnecki szczerze i prosto, choć nieco nerwowo, ujął rolę młodego adwokata, debiutującego jako obrońca własnej siostry. Bronisówna miała świetną maskę i głos kobiety - sfinksa. Nieporównana w komizmie Chaveau wniosła sporą dozę humoru w ponurą historję o morderstwie. Justjan był interesującym prokuratorem. Jako stróż litery, nie zaś ducha prawa, niewolnik przesądów społecznych, wydobyl umiejętnie na jaw całą demagogiczną nieco ironję, jaką autor zawarł w tej postaci.

Reszta wykonawców dostroiła się znakomicie do swoistego kamertonu „rozprawy sądowej”. S. P. O

Kobieta w świecie i w domu

KURSY PRZESZKOLENIA HIGJENICZNEGO DLA NAUCZCIELSTWA SZKÓŁ POWSZECHNYCH.

Z inicjatywy Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, odbyły się w Państwowej Szkole Higjenu w miesiącu lipcu i sierpniu r. b. dwa wakacyjne kursy doszkalające z zakresu higjenu dla nauczycieli szkół powszechnych.

Na kursy uczęszczało 118 słuchaczy - kierowników szkół i nauczycieli ze wszystkich dzielnic Rzeczypospolitej.

RAID SAMOCHODOWY PAŃ

Dorocznym zwyczajem odbędzie się w tym roku raid samochodowy pań, na przestrzeni przeszło 1000 klm. Współzałodniczki, obowiązane do przestrzegania ścisłego regulaminu, odbędą trasę Warszawa—Zakopane—Wisła, Wisła—Warszawa w ciągu 5 dni od 14 do 16 b. m. Pierwszego dnia odbędzie się próba szybkości górskiej, ostatniego — bieg płaski.

Zgłoszenia przyjmuje i klasyfikuje Automobilklub Polski, Warszawa, Al. Szucha 10.

ZAMÓWIENIA U POLSKICH RZEZBIAREK

Coraz częściej nasze miasta i władze państwowe zakupują lub zamawiają prace naszych artystek rzeźbiarek. Do parku Skaryszewskiego, w którym ma być reprezentowana rzeźba współczesna, miasto Warszawa zakupiło piękne dzieło Olgi Niewskiej „Kąpiąca się” i zamówiło rzeźby u Trzciańskiej - Kamińskiej. Zbiory państwowe nabyły „Głowę” w bronzie — Hanny Nalkowskiej - Bickowej, której reprodukcję podaliśmy w ostatnim numerze „Bluszcza”, łącznie z obszerniejszym studjum o działalności tej artystki. Na Wystawę Poznańską do pawilonu hutniczo-górniczego zakupiło Min. Przemysłu i Handlu „Bust Staszica” Magdaleny Gross. Wreszcie miasto Lwów powierzyło p. Lunie Dreksler zaprojektowanie pomnika Marji Konopnickiej.

SZKOŁA PRACOWNIC SPOŁECZNYCH.

Polska Macierz Szkolna pełna inicjatywy w pracy kulturalno - oświatowej, widząc, jak z jednej strony wzrasta ruch czytelnicy wśród najszerszych mas, co pociąga za sobą powstawanie bibliotek, z drugiej strony, jak mnożą się instytucje społeczne, potrzebujące do prowadzenia sekretarjatu wykwalifikowanych sił, które będą nie tylko posiadały fachowe wiadomości, ale ogólne wyrobienie w pracy społecznej — uruchomiła we wrześniu roku zeszłego w Warszawie (przy ul. Złotej 14) dwuletnią Szkołę Pracownic Społecznych.

Do Szkoły przyjmowane są kandydatki po skończeniu 6 klas szkoły średniej lub mające wykształcenie, równorzędne. Pierwszy kurs jest ogólnie - kształcący w pracy społecznej, na drugim następuje specjalizacja na pracownice bibliotek i sekretarki instytucji społecznych. Nauka teoretyczna połączona jest z seminarjami, zwiedzaniem instytucji społecznych i oświatowych; na drugim kursie słuchaczki muszą odbyć obowiązkową praktykę.

Dyrektorką Szkoły jest p. Dr. Marja Śliwińska - Zarzecka.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Pani Zofji K. G. Z rękopisu „Prawda li-to, że już nigdy” nie skorzystamy. Jest to impresja, pozbawiona walorów literackich.

PP. Autorkom i Autorom raz jeszcze przypominamy, że wszystkie rękopisy drobne, których odbiór osobisty lub droga korespondencji nie jest zastrzeżony, ulegają zniszczeniu. Rękopisy będą odsyłane jedynie po otrzymaniu przez Redakcję znaczków pocztowych. W innych wypadkach będziemy odpowiadać w rubryce „Odpowiedzi Redakcji”. Z tego względu prosimy o zaznaczenie przy rękopisie pod jakim nazwiskiem (inicjałami, pseudonimem) ma być udzielana odpowiedź.

Listy w sprawach redakcyjnych (prośby o informacje, rękopisy) powinny mieć na kopercie napis *Redakcja* i nie mogą zawierać żadnych spraw związanych z *Administracją* (prenumerata, zmiana adresu i t. p.), do której wszelkie zgłoszenia kierować należy osobno.

SZTUKA I ŻYCIE

II.

Dzisiaj jest nieco inaczej w tej mierze, i gorzej. Przedewszystkiem wszelkie tak owocne w skutkach węzły pomiędzy sztuką a życiem i człowiekiem zostały zerwane. Złożyło się na to bardzo wiele przyczyn. Najsilniej to zjawisko zaczęło występować w połowie wieku XIX. Po wszystkich przemianach politycznych i społecznych, jakie dokonały się na przełomie stuleci i w pierwszej połowie XIX w., największy przewrót w kształtowaniu się sztuki, a zwłaszcza drobnych przedmiotów artystycznych, wywołał wynalazek maszyny parowej, a przedewszystkiem zastosowanie jej do wszelkich dziedzin pracy ludzkiej, wykonywanej dotychczas wyłącznie rękoma. Reszty dokonała nagle demokratyzacja warstw społecznych i skutkiem niej zacierające się różnice pozycyj społecznych poszczególnych stanów. Maszyna stała się początkiem wielkiego przemysłu i masowej produkcji, obliczonej na łatwy i tani zbył. Łatwość i taniość produkcji musiała wpłynąć na gwałtowne obniżenie jej wartości estetycznej. Masowo dzieł sztuki, jak wiadomo, produkować nie można. Maszynowa produkcja tworzy tylko towar, który jednak artystycznym bardzo rzadko być może.

W ślad za temi zmianami poszedł gwałtowny wzrost miast, które zaczęły się zmieniać w ogromne skupienia wszelakich fabryk i w wielomiljonowe ludzkie zbiorowiska. Technika szła jednocześnie zwycięskim krokiem od wynalazku do wynalazku, opanowując coraz to większe horyzonty pracy i wytwórczości. Konieczność szybkiego i łatwego zaspokajania potrzeb zwiększała nieustannie produkcję, co musiało doprowadzić, jeżeli nie do zaniku pracy i wytwórczości ręcznej, to w każdym razie do bardzo poważnego jej ograniczenia. Maszyna produkowała szybciej a więc taniej, i to było czynnikiem decydującym. Poczóż więc mozolić się pracą ręczną, mało wydajną i drogą, kiedy można mniej więcej to samo osiągnąć przy pomocy maszyny i taniej i rychlej? Życie wzięło tak wielki rozpęd, że żadna sztuka nie zdołałaby mu nadążyć. Potrzeby życia wyprzedzały zaczęły powstawanie form, jakichby wymagały zmienne warunki życiowe, sztuka zatem, by sprostać wymaganiom, zaczęła powtarzać ślepo formy dawne, dostosowując je tylko tu i ówdzie do nowych warunków. Podobnie zaczęło postępować i rzemiosło. Łatwiej było powtarzać formy dawne, niż znachodzić nowe; życie pędziło tymczasem nurtem wartkim i niewstrzymanym, budząc coraz to inne potrzeby, będące wyrazem nowego ustosunkowania się warstw społecznych. Temu wszystkiemu najlepiej czyniła zadłość produkcja maszynowa, zaczęto więc usilnie dążyć do tego, by wszystkie dziedziny wytwórczości móc zaspokajać maszynowo. Produkowano więc

szybko, ale źle, tanio, ale natomiast w tempie pożądanem.

W tych okolicznościach praca ręczna coraz mniej zaczęła się opłacać, stosunki spychały ją coraz wyraźniej do roli kopciuszka, którym posługiwano się tylko w ostateczności tam, gdzie nieuchronna konieczność tego wymagała. Dobroczytna i sprawna maszyna ogarniała coraz większe zakresy pracy, wyręczając coraz wybitniej człowieka, a zwłaszcza, pracę jego rąk.

Dzięki szybko postępującym udoskonaleniom, stawała się maszyna coraz to wygodniejszem i sprawniejszem narzędziem i coraz posłuszniejszem woli człowieka. Czas i praca drożały nieustannie, w ślad za czem drożała i produkcja. Ten proces socjalny i ekonomiczny wyrównywała częściowo maszyna, stawała się zatem powszechnem lekarstwem na wszelkie konieczności następcze zmieniających się warunków i na wszystkie, z dnia na dzień piętrzące się trudności i rosące wymagania. Miała ona tak wiele zalet, dawała tyle korzyści i ułatwień, że nie pytano o strony ujemne, zwłaszcza, że nie były one pozornie dotkliwe.

Coraz to wyraźniej przeto znaczyła maszyna swą użyteczność i doskonałość, swą potęgę i coraz to nowsze, a nieznanne dobrodziejstwa. Rosła i potężniała pod jej wpływem wytwórczość i wszelkiego rodzaju produkcja, zatracając zarazem wszelką wartość i poczucie artystyczne. Ale o to nikt chwilowo nie pytał. Maszyna rzucała masowo w świat hafty, koronki, wyroby metalowe, skórzane, tkaniny, materje, jedwabie, a nawet obrazy, rzeźby, jednym słowem wszystko, co dawniej w mozole czynił artysta. Ale coż to była za produkcja! Maszyna nie była zniewolona do walki z materiałem i formą. Ona siłą swego stempla raz dobranego, posłuszenie i szybko tłoczyła każdą, najbardziej nawet wyszukaną, formę. Wzoru do niej dostarczał rysownik, czerpiący bez zastrzeżeń z dawnych stylów, co się tylko dało i nie dało. On rysował, a maszyna wykonywała, dozorowana przez odpowiednio wyszkolonego mechanika.

Tak ostatecznie artysta wziął rozbrat z pracą i techniką wykonania, w najlepszym razie zostawiając sobie dziedzinę t. zw. projektowania. Nic dziwnego przeto, że praca wykonawcza spadła do rzędu czynności niższych, niegodnych ludzi wyższego artystycznego polotu, posiadających dyplomowany często przywilej twórczości.

Skutki nie dały długo czekać na siebie.

Maszynowo tworzone „piękno“ nabrało swoich cech i właściwości. Sztuka pod wpływem tych nowości podzieliła się na dwie zasadnicze grupy: na sztukę wielką i na tak zw. przemysł artystyczny. Pierwszą uznano za dzieło czystych natchnień, drugą za wynik erudycji. Sztuka wielka, czyli czysta, wymagała czegoś trudnego do zdefiniowania, a co zwano talentem, sztuka stosowana opierała się na umie-

jętności i sprawności, które nabywało się nauką. W dalszych konsekwencjach te mniemania doprowadziły do nadzwyczajnego kultu stylów historycznych, w których widziano jedyne lekarstwo na wszystkie niedomagania sztuki i ówczesnego przemysłu artystycznego. Stylowem nazywano tylko to, co opierało się na powtarzaniu elementów stylów dawnych. Brzydkiem nazywano to, co nie posiadało ozdób stylowych, czyli powtarzanych niewolniczo z najrozmaitszych stylów. Przedmiot, uchodzący za piękny, musiał być wprost oblepiony ozdobami. Pokrywano więc niemi w imię tych hasel wszystko, co tylko podpadło pod rękę. Dla wyszkolenia mistrzów tak pojmowanej twórczości, zakładano rozliczne szkoły przemysłowe, do pomocy dodawano im, wspaniale nieraz nawet urządzone, muzea przemysłu zwykłego i artystycznego, gdzie na niedoścignionych wzorach dawnej sztuki rzemieślniczej, miał się szkolić nowoczesny rzemieślnik i projektodawca maszynowej, zdobniczej twórczości. Skutki tej estetyki okazały się w praktyce wprost potwornymi.

Artysta, tak uczony, doszedł do nieuchronnego przeświadczenia, że teraz wogóle sztuki niema, jedynym więc wyjściem jest ślepe powtarzanie form dawnych. Powstawały więc wzory, oderwane od wszelkich materiałów, dające się zastosowywać do wszystkiego i do wszystkich materiałów. Niebawem pośpiech i oszczędność doprowadziły tamtoczesnych artystów do wniosku, że niekoniecznie trzeba tworzyć w materiałach autentycznych. Marmur, metal, można ludzko naśladować gipsem, szlachetne kamienie szkłem, a niekiedy pożądane efekty można osiągnąć malowaną blachą. Kłamstwo zabiło prawdę materiału, którą wzgardził przemysł, tak zwany artystyczny i od tej chwili zapanowała skrajna niedola w tak bogatym i szczerym dawniej świecie sztuki. Moda i praktyka dźwigała wprawdzie na coraz wyższy piedestał artystę, wyposażając go w coraz to doskonalsze i wyższe atrybuty metafizyczne, ale jednocześnie nie umiała jego sztuce dać soków żywotnych. W ślad zatem rola rzemieślnika coraz bardziej zaczęła się obniżać. Potężny dawniej, w walce z materiałem i formą, niczem nie ustępujący artystom, schodził do skromnej, acz wygodnej, roli opiekuna maszyny. Nic już bez niej nie umiał. Myślała za niego szkoła przemysłowa, wykonywała maszyna.

Tak dokonał się ostatecznie brzemienny w skutki fakt zerwania naturalnych węzłów pomiędzy życiem, artystą i sztuką. Od tej chwili życie i sztuka potoczyły się odrębnymi łożyskami. Sztuka straciła skutkiem tego wszystkie wartości życiowe, a życie artystyczne. Wśród takich warunków kształtował się smak estetyczny drugiej połowy wieku XIX i jest to bez przesady najsmutniejszy okres w artystycznym rozwoju ludzkości.

Niedola sztuki i brzydota w codziennym życiu.

Stanisław Machniewicz.

NIEZNANA SAŁATA

Jest pewien chwast uprzykrzony, który wszędzie rośnie, a szczególnie zanieczyszcza trawniki; ale mało osób wie o tem, że chwast ten jest jednocześnie bardzo pożyteczną rośliną, przytem rośliną lekarską, a również i bardzo smacznym warzywem. Pójdźmy w miesiącu maju do parku lub ogrodu, a zobaczymy tam niektóre trawniki wprost złote od złotych kwiatów.

Z kwiatów tych po okwitnięciu wytworzą się szare puszki w kształcie kuli, które tak lubią dzieci, a nawet i dorośli rozdmuchiwać na wszystkie strony świata. Liście wychodzą z jednego korzenia, tworząc rozetę. Roślinę tą nazywamy: mleczem, brodawnikiem, po łacinie, jak chce botanika: „*Taraxacum dens lonis*“, po francusku: „*pissenlit*“, po niemiecku: „*Löwenzahn*“. Otóż liście tej rośliny, odpowiednio zebrane, dają bardzo smaczną sałatę. Roślinę tę, w stanie dzikim rosnącą, można zbierać tylko na wiosnę, aż do tej chwili, gdy pączki kwiatowe zaczynają w górę wyrastać. Z chwilą, gdy roślina zacznie kwitnąć, już jest do jedzenia niezdatna, gdyż staje się bardzo gorzką, liście robią się twarde, łykowate i nabierają ostrego, zielnego zapachu. Na wiosnę, gdy się pojawiają pierwsze, jeszcze drobne, rdzawe listki, możemy już zaczynać nasz zbiór. W tym celu bierzemy koszyk i nóż. Czubek noża wsuwamy pod rozetę liści, przecinamy korzeń i roślinę wrzucamy do koszyka. Po przyjsciu do domu, odcinamy korzeń aż do liści i, zaczynając od zewnętrznych, każdy pojedynczy liść odrywamy w kierunku od środka do zewnątrz, starając się zachować w całości dolną, białą, delikatną część liścia; czynność ta przypomina oskubywanie ptaka z piór. Liście płócemy starannie w kilku wodach i kładziemy na głęboką salaterkę.

Sposób przyrządzania jest następujący: Liście należy ostrym nożem dosyć drobno pokrajać na części wielkości około jednego cała; zebraną na dnie wodę wylać. Do sałaty wkrajać w paski kilka zimnych, gotowanych kartofli, jajko na twardo dosyć drobno posiekane, i zależnie od gustu, z pół ząbka czosnku. Odrobina czosnku jest do tej sałaty konieczna. Czosnek po obraniu ze skórki kraje się drobno, posypuje na desce od mięsa solą, drewnianą łyżką miażdży się na maść i wrzuca do sałaty, teraz wlewa się kilka łyżek oliwy. Osobno bierze się np. pół szklanki zimnej wody (ilość zależna od ilości sałaty), wysypuje się do wody soli do smaku, octu i łyżeczkę od herbaty musztardy, wszystko razem dobrze się miesza. Otrzymany płyn wlewa się do sałaty, która jest już gotowa do jedzenia. Niektórzy wysypują jeszcze odrobinę cukru. Sałata ta jest bardzo zdrowa, mówią, że oczyszcza krew.

Jak już mówiłem, sałatę tę można mieć tylko na wiosnę do czasu wyrośnięcia pączków kwiatów.

wych. Ale możnaby i później mieć sałatę, trzebaby jednak przykryć czemś rośliny, aby rosły pociemku. np. garnkiem, doniczką, skrzynką, a może wprost deską i t. p., gdy się wysiła, robią się białe, lub żółte, staną się kruche, tracą gorycz i będą smaczne.

Czynność ta nazywa się w ogrodnictwie wybielaniem. Zwykle jednak w lecie tego nie robi się, bo mamy inną sałatę.

We Francji sałatę tę hodują i wybielają głównie na porę zimową i dlatego mówimy o niej obecnie, aby do hodowli u nas zachęcić. Nasiona tej rośliny można znaleźć we wszystkich francuskich katalogach ogrodniczych, przytem ogrodnicy we Francji wyhodowali już kilkanaście odmian mlecza, różniących się kształtem liści. Roślina ta nie jest tam już chwastem, lecz poszukiwanym warzywem. Gdybyśmy rozporządzali liśćmi mlecza wybielonemi, moglibyśmy takowe także jeść gotowane. Podam tutaj dwa sposoby.

1) Wodę osolić do smaku i do gotującej wrzucić liście, które były uprzednio starannie oplóskane. Gotować około 25—30 minut, potem wyjąć na durszlak, aby odcedzić. Następnie dusić z masłem przez pewien czas, potem dodać młodej, niezbyt kwaśnej śmietany i trochę pieprzu i jeszcze razem dusić.

Drugi sposób:

2) Połowę liści bielonych mlecza i połowę szczawiu ugotować w dobrym rosole. Na talerzu można wbić żółtko surowe, lub wkrajać jajko na twardo, do tego podaje się grzanki.

Zagranicą wyciskają z mlecza sok, który wygląda jak lepkawe mleko, zgęszczają go przez odparowanie, otrzymując w ten sposób powidelka brązowego koloru, które pod nazwą: „extractum taraxaci“ możemy znaleźć i u nas w Polsce w każdej aptece, jako lekarstwo.

Drugą rośliną polną, z której możemy korzystać wczesną wiosną, jest dziki chmiel. Młode pędy, wychodzące z ziemi, wycinamy na długość palca, starannie płóczemy w wodzie i wiążemy w małe pęczki. Potem gotujemy wodę z dodatkiem soli i cukru do smaku i wrzucamy w nią pęczki chmielu. Gdy się ugotuje, podajemy tak, jak szparagi, a więc: masło z bułeczką, lub sos holenderski, lub sos majonezowy i t. d.

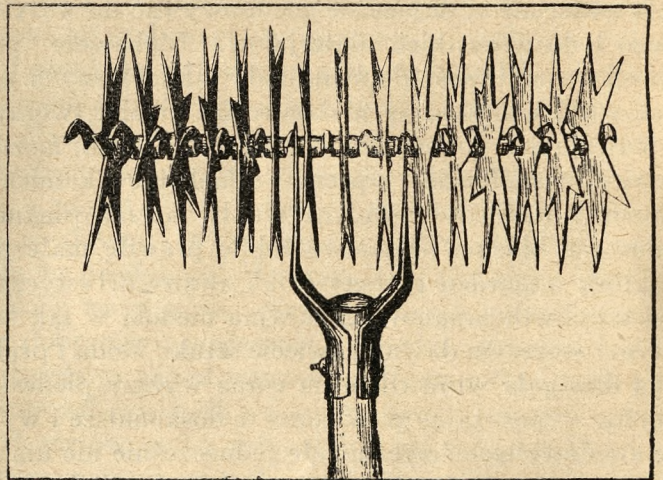
Naturalnie chmiel hodowany na plantacjach będzie jeszcze lepszy. Wielkim zwolennikiem tego warzywa był cesarz austriacki Franciszek Józef.

F. G

NOWE GRABIE ROTACYJNE

Jednem z najdawniej znanych narzędzi rolniczych jest brona, czy też pokrewne jej, do użytku ogrodowego przeznaczone, grabie. Prowadzone tam i zpowrotem po zoranej, czy przekopanej ziemi, mają na celu rozdrabnianie skib i równanie powierzchni. Że to nie zawsze jest łatwym zadaniem, szczególnie na ziemiach cięższych, o tem wie ze swej praktyki każdy ogrodnik.

Z czasopisma „Land und Frau“ dowiadujemy się o nowym, praktycznym, zaoszczędzającym czas i pracę, wynalazku w tej dziedzinie, dokonany przez rolnika p. Ebell'a z Cassel. Opatentowana nazwa tego narzędzia brzmi: „grabie rotacyjne“; nie jest to jednak w żadnym razie narzędzie, choćby nawet podobne do grabi. Jak rysunek poniższy wskazuje, mamy tu do czynienia z grabiami o podwójnym uzębieniu: mniejsze zęby, takie, jak zwykle spotykamy przy zwykłych grabiach żelaznych, są stałe, pomiędzy zaś niemi umieszczone są luźno obracające się, stalowe gwiazdy.

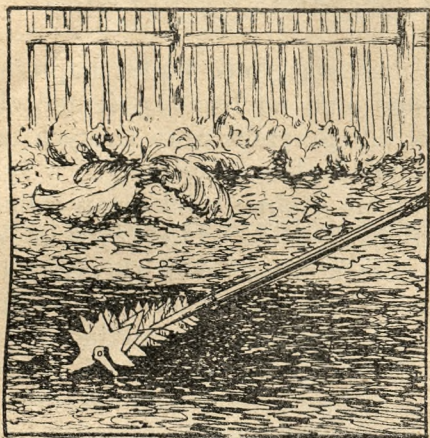


Pracę wykonywa się tak samo, jak zwykłymi grabiami, z tą różnicą, że znacznie dłuższe i ostre zęby owych gwiazd wrzynają się głębiej w ziemię, krusząc ją dokładniej, jednak nie rozpychając jej na boki, co wytwarza zupełnie równą płaszczyznę uprawionego zagona.

Grabie rotacyjne stwarzają idealne podłoże gleby przy minimalnym wysiłku, oraz działają o wiele szybciej od zwykłych, gdyż jednorazowe przeciągnięcie wystarcza w zupełności i jeden człowiek wykona z łatwością pracę trzech ludzi; nadają się one nie tylko do uprawy gleby, lecz również z powodzeniem używane być mogą do niszczenia chwastów między rzędami, gdyż są wyrabiane w kilku wielkościach.

W każdym razie, jako mieszkanka wsi, uważam





za rzecz zupełnie godną głębszego zastanowienia, czy i u nas nie dałoby się wykonać coś w rodzaju powyższej opisanego narzędzia?

A. D.

CIEŁĘCINA

Chyba żadne mięso nie gra tak dużej roli we współczesnej kuchni, co cielęcina. Żadne też nie ma tylu zwolenników wśród lekarzy i higienistów — i tylu nieprzyjaciół pomiędzy, skazanymi na białomięsną dietę, przymusowymi jej spożywcami. Nie cieszy się też ona sympatją gospodyń: duża ilość kości i duża ich waga w stosunku do całości, robi cielęciny niesporą w użyciu, a zatem dosyć kosztowną. Nie to wszystko nie pomaga. W małych miasteczkach przez pół roku blisko innego mięsa, niż cielęce, zdobyć nie sposób. Wołowina jest mięsem od święta, i, jako pochodząca z brakowych krów, wiele pozostawia do życzenia co do jakości. Po dworach wiejskich, gdzie szczególnie rodzina duża, a domownicy liczni, niewinne cielątka co tydzień nieomal padają ofiarą ludzkich apetytów — sezon tych mordów trwa zwykle od nowego roku do połowy lata — kiedy to młode baranki i starsze skopy odpowiednio się upasą i duża ilość drobiu młodego pozwala urozmaicić jadłospisy.

Nie mogąc mieć najmniejszego wpływu ani na sympatje — ach, jakże zmienne! — lekarzy (pamiętam z lat dziecińczych mocne wyciągi z wołowiny i krwawe befsztyki, któremi nas karmiono), ani na duże ilości cielęciny, używane na prowincji z konieczności, a w dużych miastach dla względnej taniości — chciałabym przyjść z pomocą gospodyniom, przypominając im rozmaite sposoby użytkowania nie tylko mięsa, lecz i kości cielęcych, tych kości, których niestety każda ćwiartka ma dużo za wiele.

W domach prywatnych używa się przeważnie tylko zadnich części cielęciny, a to ponieważ przednie, jako koszerne, nabywają po wyższych cenach żydzi.

Tylko restauracje, kupujące całe sztuki od hurtowników, mogą dawać mostki i bite kotlety cielęce, jedne i drugie w smaku dużo lepsze od dyszku. A chociaż pieczeń z dyszka cielęcego jest uważana za najlepsze danie z cielęciny, jednak, tak swą jednostajnością nudzi, że ja sama, jedząc w dzieciństwie dwa razy tygodniowo pieczeń cielęcą (przysyłano je ze wsi mojej matce, mieszkającej w mieście dla wychowania dzieci), tak ją zniecierliłam, że przez życie całe, do samej wojny światowej i rewolucji rosyjskiej, które nas wszystko nielubiane jeść nauczyły, pieczonej cielęciny do ust nie brałam). Nie będę więc tu mówiła o przednich częściach cielęciny, chyba wspomnę jeszcze o łopatce, która umiejętnie przez rzeźnika wyluzowana z kości, stanowi wyborny materiał do nadziewania i na różne siekaniny i farsze. Tam, gdzie ją można nabyć, należy ją używać do codziennych obiadów czy śniadań, gdyż, o ile nie jest koszerą, to jest dużo tańsza od tylnej ćwiartki, a w smaku jej wcale nie ustępuje. Nie będę też wyliczała korzyści, jakie nam przynoszą dróbka cielęce: główka, nóżki, mózdzki, ozorki, płuczka i serce, cynaderki i kreski. Zaznaczę tylko, że dziwny zwyczaj skalpowania główki cielęcej w celu powiększenia wagi skórki, istnieje tylko w Polsce. Wszędzie, na Wschodzie nawet, nie mówiąc o Zachodzie, główkę się sprzedaje i używa wraz ze skórką, która stanowi jej część najcharakterystyczniejszą i najsmaczniejszą.

Chcąc urozmaicić danie z cielęciny i odpocząć od sakramentalnych dyszku i forszlaku pieczonego, potrawki i kotletów siekanych, dań ukochanych przez niepomysłowe gospodynie i leniwe kucharki, musimy się zwrócić do nieskończonej ilości kombinacji z cielęciny smażonej, na które można użyć cały dyszek wyluzowany z kości. Kości się przy tem nie marnują, gdyż z nich można gotować z włoszczyzną smak na wszelkie zupy zabielań, przecierane lub zaprawiane żółtkami. Dolną część dyszka, golonkę czy kolanko, można gotować wraz z nóżkami czy główką na galarete. Gdyby jednak ktoś i w taki sposób nie mógł zużytkować wszystkich kości, niech z nich robi rodzaj prędkiego buljonu, służącego za podstawę wszelkich sosów w kuchni bardziej wykwintnej. Kości, żyłki i golonkę należy porąbać na nieduże kawałki, zrumienić mocno w niedużej ilości masła, poczem włożyć do rondla, zalać wodą, dodać włoszczyzny — pietruszki, marchewki, pora, selera, cebuli, parę ziarn pieprzu i ziela, listek i goździk i gotować wolno, aż ścięgną opadną z golonki i wszelki smak utracą. Rosół precedzić i gotować jeszcze aż się wysadzi tak, że zlany do słoja lub garneczka utworzy twardą galarete. Solić go nie należy, gdyż prędzej kwaśnieje. Latem tydzień na chłodzie, zimą bardzo długo taki buljon stać może i bardzo jest w kuchni pożyteczny, jako podstawa sosów mięsnych.

Nie sposób w krótkim artykule wyliczać wszelkie rodzaje dań z cielęciny — w poprzednim numerze „Bluszczu” podałam trzy oryginalne, smaczne, a nie trudne do wykonania potrawy, które najbardziej zwykłym smakiem cielęciny zanudzoną osobom smakować powinny. Poza tem, z już upieczonej lub uduszonej cielęciny można przyrządzać wyborne krokiety, majonezy i sałatki. Można z białej, ładnej cielęciny zrobić galantynę niewiele w smaku, a nic w wyglądzie nie ustępującą galantynie z pulardy. W ładnie białkiem sklarowanej i nieco winnym octem zakropionej galaretce z nówek lub chociaż kości cielęcych, można zastudzić naprzemian plastry cielęciny, peklowanego ozora i mózdzku, lub cielęciny i pasztetu i t. p. Nakoniec same potrawy można zapomocą różnych sosów, dodawania grzanek, fleuronów z francuskiego lub zaparzanego ciasta urozmaicać tak, że żaden mąż, syn, ani córka nie odezwie się z grymasem na twarzy: „Ach, znów ta cielęcina!”.

Pani Elżbieta.

GOŁĄBKI Z GRZYBAMI

Dużą, nieścisłą głowę białej kapusty, sparzyć w całości, podzielić na liście, pościnać zbyt grube żeberka. Pół kilo grzybów prawdziwych oczyścić na sucho, pokrajać drobno i podsmażyć w łyżce masła z dwoma dużymi, drobno usiekanymi cebulami. Piętnaście deka drobnej kaszki krakowskiej, przetartej jajkiem i ususzonej, ugotować na sypko i zmieszać z grzybkami. Osolić do smaku, popieprzyć lekko. Smarować tym farszem listki, związać w rolki, związać nitką. Zrumienić ze wszystkich stron w łyżce masła. Przełożyć do rondla, zalać masłem z patelni, podlać paru łyżkami śmietany i dusić wolno dwadzieścia minut do pół godziny. Wyjąć z rondla, zdjąć nitki, przełożyć na półmisek, polać precedzonym przez sitko sosem, który się uformował przy duszeniu. Kto lubi sos bardziej zawieszisty, może go zaprawić łyżką mąki i zagotować. Gdyby się sos nadto wydusił, dodać rosółu lub wody z kawałkiem buljonu krajowego.

GRZANKI Z OWOCAMI

Oстрыm nożem zciąć z pszennego chleba skórkę i nakrajać zeń tyle dużych owalnych grzanek, ile mamy osób przy stole. Grzanki powinny być grube na półtora centymetra i robić je należy z niezbyt świeżego chleba. Grzanki usmażyć, dobrze rumieniąc z obu stron w dużej ilości masła, poczem jeszcze wstawić je w piec, aby były chrupiące. Ugotować kompot z gruszek, śliwek, wisien i t. p. z każdego gatunku oddzielnie lub z kilku zmieszanych. Można też na to użyć owoców z konserwy, lub suszonych moreli, brzoskwiń, czy francuskich śliwek. Owoce osączyć, a syrop wygotować do gęstości syropu z konfitur. Dodać doń łyżkę lub więcej rumu, araku, lub w braku ich łyżeczkę od herbaty esencji ponczowej. Syropem polać grzanki, ułożyć na nich prędko grubą warstwę owoców i podawać zaraz, aby grzanki nie ostygły. Resztę gorącego sosu podać w sosjerce. Można takie same grzanki robić z surowcami: ananase, melonem i pomarańczami. Syrop się gotuje w takim razie na skórkach lub obrzynkach tych owoców, aby miał odpowiedni zapach.



RYDZE NADZIEWANE

Na to można użyć tylko bardzo dużych i grubych rydzów borowych o zagiętych brzegach. Rydzów myć nigdy nie należy, tylko oczyścić dokładnie wilgotną szmatką. Poucinać korzonki. Te korzonki i kilka lub kilkanaście mniejszych rydzów usiekać, zmieszać z przesmażoną w maśle (drobno pokrajaną) cebulą, dodać siekanego koperku, tartej bułki, jedno lub więcej jaj, aby się masa dobrze trzymała, posolić do smaku, popieprzyć odrobinę. Rydze lekko posolić, napelnić tym farszem, utarzać w nim i smażyć na obficie rozpuszczonym maśle. Gdy z obu stron się zrumienią, a masło na patelni stanie się przezroczyste, podawać gorące, najlepiej na tejże samej patelni. Do nich należy podać pokrajaną w ćwiartki cytrynę.

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17 zł. 40 gr.,
rocznie — 69 zł. 60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7 zł. 20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu” — Warszawa, Plac Zamkowy 9.

Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”, Sp. z ogr. odp

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Ekspedycja: ul. Górnośląska 19, tel. 244-75.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ”, Rymarska 8, tel. 244-18.

Nasza Mównica

Problemat wyższych studjów kobiecych (w odpowiedzi na artykuł p. Natalji Jastrzębskiej w Nr. 51 „Bluszczu“).

Sprawa wyższych studjów kobiecych jest dzisiaj zbyt aktualna i paląca, aby można było przejść nad nią do porządku dziennego, lub załatwić ją jednym, kategorycznym posunięciem. Nie jest to kwestja łatwa, ani prosta, to też wymaga wielostronnego możliwie obiektywnego oświetlenia.

Co rok, cała gromada dorastających dziewcząt opuszcza szkolne mury z „patentem dojrzałości“. Kto jednak bliżej stykał się z niemi, ten wie, jak wiele jest wśród nich takich, których kultura umysłowa i duchowa pozostawia bardzo dużo do życzenia. Posiadają jednak pewne minimum wiadomości, zresztą jedynie teoretycznych, wystarczających do otrzymania świadectwa maturalnego.

Cała ta rzesza kieruje się do wyższych uczelni, szczególnie do uniwersytetów, na wydziały, które przyjmują kandydatki bez ograniczeń i utrudnień.

Dzisiejsza szkoła średnia, rozwijając niewątpliwie uczenia i dając mu pewien całokształt wiadomości z różnych dziedzin, nie rozwija w nim jednak, poza bardzo nielicznymi wyjątkami, indywidualnych zamiłowań, nie pobudza jego specjalnych uzdolnień, tak, że często, po maturze, uczeń postanawia tylko ogólnikowo, choć niewzruszenie: „Pójdę na uniwersytet!“, a już wybór wydziału i specjalności zależy od drobnych, zewnętrznych okoliczności, często nawet od przypadku.

Czyż rozpoczęte pod wpływem takiej pobudki studja mogą być prowadzone z pożądaną systematycznością i wogóle doprowadzone do pomyślnego końca? Wątpię. I oto spotykamy się z corocznie powtarzającym się zjawiskiem: przez pierwsze miesiące audytorja uniwersyteckie są przepelnione, seminarja wstępne przeładowane, profesorowie i asystenci niezadowoleni z tłoku, uniemożliwiającego pracę, indeksy skwapliwie wypełniane przez osoby w białych czapczkach, przejęte jedną dumną myślą: „Jestem studentką!“ Ale oto w bardzo krótkim czasie obraz ten dziwnie się zmienia: na wykładach pustki, w seminarjach brak już owych pilnych pracownic, biała czapka, niegdyś przedmiot dumy i zadowolenia, pogardliwie odrzucona. Studentka przestaje uczęszczać na wykłady, nie zdaje egzaminów, kończy się „szopka“ uniwersytecka. Tak jest w wielu wypadkach, nie trzeba jednak zapominać, że istnieje dużo studentek,

które z pierwotnym zapalem trwają przez całe studja, nie opuszczają się w pracy, prowadząc ją często z bardzo dobrym wynikiem i kończą chlubnie wyższą uczelnię. Ilu jednak doznają przeszkód z powodu przepelnienia uniwersytetu przez te kobiety, które wstąpiły doń, nie mając zamiaru studjować porządnie. A takich jest dziś bardzo dużo, niestety.

Do ukończenia studjów wyższych potrzebne są odpowiednie warunki umysłowe (zdolności), duchowe (zamiłowanie, wytrwałość) i materialne. Jednostki, pragnące rzeczywiście wydatnie na wyższej uczelni pracować, muszą wnieść do studjów zamiłowanie przedmiotu, bez którego uciążliwe, bądź co bądź, prace staną się ciężką pańszczyzną, odrabianą jedynie z musu, a więc niezbyt dobrze. Ogromnie ważnym jest pierwiastek wytrwałości, nie wszystkim, niestety, kobietom właściwy, gdyż bez niego trudno pokonać piętrzące się trudności. Wreszcie warunek, sine qua non, to zdolności, niekoniecznie wybitne, ale w każdym razie wystarczające do objęcia całokształtu różnorodnych przedmiotów, wchodzących w zakres studjów jednego wydziału.

Nie należy więc, według mnie, „zachęcać kobiety do studjów wyższych, choćby bez zamiaru obrania określonego zawodu“ (cytata z artykułu p. N. J.). Wprost przeciwnie, należy odradzać studjowanie tym jednostkom, które nie są do tego kompletnie przygotowane, popierać zaś w studjach te jedynie, których wartości duchowe i umysłowe dają gwarancję porządnego tych studjów odbycia i następnie dobrego zużytkowania nabytej wiedzy.

Jakże często zapytana o zajęcie panienska odpowiada: „Chodzę na uniwersytet! Nie „studjuję“ nie „uczę się“, ale „chodzę“. To powiedzenie jest bardzo charakterystyczne. Wiele bowiem osób traktuje wyższą uczelnię nie jako warsztat pracy umysłowej, mający wykształcić człowieka, ucząc go metody badania naukowego, ale jako wygodną i... (przynajmy się!) modną przystań, bardzo nadającą się do spędzenia dwóch, trzech lat między maturą a... zamążpójściem. Czas już z tem zerwać! Należy pamiętać, że wyższa uczelnia nie jest miejscem, gdzie można „chodzić“, zajmując czas i energję profesorom, a miejsce koleżankom, chcącym naprawdę studjować.

Poza tem, nie można ulegać złudzeniu, że kobieta, która „pochodzi“, na uniwersytet z braku innego, konkretnego zajęcia, zyska „pogłębienie każdego zagadnienia, logiczne podejście do każdej sprawy, wnikliwość analizy i pewność syntezy“. Te cechy umy-

słowe nie przyjdą same przez się, muszą być zdobywane wytrwałą, samodzielną, sumienną pracą, nie zaś jedynie flirtem z kolegami lub „chodzeniem na uniwersytet“. Obok więc bardzo problematycznej korzyści dla tych studentek, jedynie z nazwy, spotykamy się tu z utrudnieniem pracy i psuciem opinii jednostkom rzeczywiście studującym.

Chcąc być należycie zrozumianą, podkreślam raz jeszcze, że nie jestem bynajmniej zwolenniczką ograniczenia wykształcenia kobiecego do szkoły średniej, przeciwnie, pragnę widzieć na wyższych uczelniach kobiety, ale tylko takie, które rzeczywiście pracują, nie zajmując napróżno czasu i miejsca innym. Nie nawołuję bynajmniej do zaniechania studjów wyższych przez kobiety, rozumiem ich potrzebę, a nawet konieczność, pragnę jedynie, aby nie dostawały się tam, po maturze elementy, niepożądane, które, korzystając minimalnie, przeszkadzają wiele i obniżają autorytet studjów wyższych. *Irena Erdmanówna.*

Rozdrażnienie (w odpowiedzi p. S. Ch. z Wielunia).

Stanowczo: nie powinno tak być.

Kościół katolicki jest organizacją zwartą, karną, na dogmatyzmie opartą, nieomylności swej Głowy widzialnej w rzeczach religijnych dotyczących uznającą, ergo — skoro prawo Kościoła wyklucza z przysięgi małżeńskiej kobiety przysięgę posłuszeństwa (nie rozumiemy jej po dziecinnemu, chodzi tu o specjalne *małżeńskie posłuszeństwo!*), to żaden poszczególny funkcjonariusz - ksiądz nie powinien *être plus catholique que le pape*, a gdy sobie na to pozwoli, powinien być przed wyższą swą władzą oskarżony i przez taką stosownie ukarany.

Tylko, mojem skromnem zdaniem, od objawu, niewczesnego oczywiście, obskurantyzmu poszczególnego kapłana, daleko do tendencji ujarzmiania kobiety przez mężczyznę, do męskiej pychy i zachłanności, wogóle do siedmiu grzechów głównych mężczyzny, jako takiego, wobec kobiety, jako takiej. Kobieta współczesna już wyzwoliła się i czas, sądzę, by się wzburzone morza antagonizmu płci ukoili i rozesłały gładko i pogodnie pod drogi nowej, zgodnej współpracy nowych wspólnych poczynań: *Pax Domini sit semper vobiscum!*

M. B. z Lubelskiego.

Z życia Krasnostawskiego Oddziału Związku Pracy Obywatelskiej Kobiet.

Od kwietnia r. b. istnieje na terenie m. Krasnostawu Oddział Związku Pracy Obywatelskiej Kobiet.

Po zwalczeniu całego szeregu trudności, natury

czysto organizacyjnej, praca rozwija się normalnie, a Oddział zyskuje z dniem każdym nowe członkinie.

Mając na uwadze, iż normalny rozwój organizacji jest w dużej mierze uzależniony od posiadania własnej świetlicy, Zarząd wytyczył w tym kierunku swoje zabiegi, organizując różne imprezy i zabawy, dzięki czemu uzyskano kapitał i od miesiąca jesteśmy w posiadaniu własnego lokalu-świetlicy.

Świetlica jest stale odwiedzana przez członkinie, które chętnie spędzają w niej po kilka chwil, przeglądając pisma.

Utworzono narazie dwie sekcje, a mianowicie: teatralną i gimnastyczną, a chcąc mieć własną instruktorkę do ćwiczeń gimnastycznych, oddział delegował i subsydjował swoją członkinię na miesięczny kurs wychowania fizycznego do Gostynina.

Wreszcie w dniu 3 sierpnia r. b. urządzona była zabawa taneczna. Z osiągniętego zysku Zarząd przeznaczył 30 zł. na głodne dzieci wileńskie, resztę na bieżące potrzeby organizacji.

Z racji święta Cudu nad Wisłą, zainicjował Oddział uliczną kwestę na odnowienie pomnika Legjonów Dąbrowskiego, znajdującego się na tutejszym cmentarzu. Zebrana kwota zł. 54 gr. 68 została w całości przeznaczona na powyższy cel.

Mając na uwadze zbliżający się rok szkolny, sekcja teatralna przystępuje do opracowania przedstawienia, dochód z którego przeznaczony będzie na odzież i obuwie dla najbardziej potrzebującej dziatwy szkolnej

Pożytecznej organizacji życzyć należy szczęścia w zbożnej pracy i pomyślnego rozwoju.

Pola Pawłowska — Krasnostaw.

Do Pań Czytelniczek.

Zachęcona życiowo-praktyczną stroną niektórych komunikatów w „Naszej Mównicy“, zwracam się i ja do życzliwych współprenumeratorek, zamieszkałych w Warszawie, czyby która z Szan. Pań nie zgodziła się odnajdąc mi niekrepujący, jasny, umeblowany pokój w dobrym punkcie. Jestem profesorką jednej z warszawskich szkół muzycznych, grywam sama 2 godziny dziennie — lekcje w domu zajmują mi niewięcej, niż 3 godziny dziennie. Wobec tego, że mam bardzo dobry fortepian, mogłabym użyczyć go do egzercycji — również podjąć się całkowitego kształcenia muzycznego w zakresie studjów, zarówno konserwatorium, jak gry wirtuozowskiej według metody jednego z naszych największych pianistów.

Oferty dla mnie proszę kierować do redakcji „Bluszczu“. Adres mój tamże.

E. C. M. — Warszawa.